SZKAPA

(„DIE KLATSCHE.")

Z oryginału napisanego w żargonie żydowskim

przez

S. ABRAMOWICZA,

PRZEŁOŻYŁ I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

Klemens Junosza.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GRUSZECKIEGO
Nowy-Świat Nr. 53, róg Wareckiej.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 30 Сентября 1886 года.

Druk Braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) Nowolipki Nr 9.

SZKAPA. *)

Kilka słów do wydawcy.

Kochany Panie! Prosisz mnie o przekład jakiego dziełka z żargonu, z tego dziwacznego języka, którym rozmawiają żydzi nasi; pragniesz dać publiczności polskiej próbkę tej literatury, nieznanej dotychczas zupełnie, przeznaczonej wyłącznie dla odosobnionych mas żydowskich, w odrębności swojej zamkniętych.

Życzeniu Twemu czynię zadość; ale uprzedzam zarazem, że sam przekład bez licznych objaśnień i komentarzy byłby dla czytelników do zrozumienia niełatwym. W życiu żydów naszych są zwyczaje, których nie znamy; przesądy, wierzenia. o których nie słyszeliśmy nigdy—-pomimo że już od ośmiu wieków z górą na jednej ziemi mieszkamy. Dlaczego tak jest—nie tu miejsce rozbierać, dość że jest—i tłómacz książki napisanej

[1]) Oryginalny tytuł tego dziełka jest „Die Klatsche oder Caar baali chaim" (Szkapa, czyli współczucie dla zwierząt). Z pamiętników Srulika opętanego (Isrulik der mszugener). Wydanie wileńskie, w drukarni wdowy i braci Romm. 1873 r.

w domowym języku żydów i opisującej sceny z ich życia, musi zatrzymywać się ciągle, omawiać, objaśniać to, czegoby chrześciański czytelnik nie mógł zrozumieć. Pragnąc wszakże, aby przekład o ile możności zachował cechy oryginału i aby niezbędne komentarze tłómacza nie przerywały ciągłości tekstu, postanowiłem wszelkie objaśnienia umieścić w przypiskach. Ten sposób wydaje mi się z wielu względów bardzo praktycznym.

Teraz jeszcze kilka słów o tem, dlaczego wybrałem do przekładu „Die Klatsche," nie zaś inne jakie dziełko z literatury żargonowej. W ogóle oryentowanie się w piśmiennictwie tem jest dość trudnem, katalogów porządnie i systematycznie prowadzonych brak, a w dziełach traktujących o literaturze hebrajskiej, utwory żargonowe nie są wspominane. [1])

Trzeba tu sobie radzić własnemi siłami, odwie-

---

[1]) Ks. Chiarini, niegdyś profesor języków i starożytności wschodnich w akademii duchownej i uniwersytecie warszawskim, w dziele swem „Théorie de Judaisme," wydanem w Paryżu w roku 1829, o piśmiennictwie żargonowem daje zaledwie krótką wzmiankę. Gustaw Karpeles w świeżo wydanej książce „Geschichte der Jüdischen Literatur" (Berlin, Robert Oppenheim 1886) poświęca wprawdzie cały rozdział piśmiennictwu żargonowemu (Die judisch-deutsche Literatur, str. 1000), ale o nowszej literaturze żargonu, tutejszej zwłaszcza, nic nie wie. Domyśla się tylko jej istnienia, pisząc (str. 1029). „*Aber die judisch deutsche Literatur schlieszt mit diesier periode nicht ab.* Ihre auslaufer erstrecken sich - zum mindesten, in den slavischen Ländern." W broszurze bezimiennego autora, wydanej zdaje mi się w Berlinie p. t. „Israel und Gojim" są niejakie wiadomości o żargonie, lecz zupełnie fałszywe. Luźne wzmianki o literaturze żargonowej można znaleść od czasu do czasu w rosyjskim miesięczniku „Woschod," wydawanym w Petersburgu pod redakcyą p. Landau.

dzać księgarnie żydowskie i korzystać z prywatnych informacyj, o ile takowych zasięgnąć można.

Do wyboru „Die Klatsche" skłoniło mnie przedewszystkiem nazwisko jej autora, a powtóre niezwykły rozgłos, jaki ta książka wśród żydów posiada. Nawet ucywilizowani izraelici, którzy już oddawna zarzucili żargon, wiedzą o istnieniu „Die Klatsche."

I rzeczywiście w szeregu żargonowych pisarzy Abramowicz pierwszorzędne zajmuje stanowisko. Obdarzony talentem, dowcipem, wysoko rozwiniętym zmysłem spostrzegawczym, a przytem wykształcony dość wysoko, tworzy on dziełka, które gdyby w innym języku były pisane, zjednałyby mu oddawna zasłużony rozgłos w szerokich kołach czytelników. Po nad innych pisarzy żargonowych wyrosł on bardzo wysoko, tak, że co prawda, nie ma go z kim nawet porównywać. [1]) Jego utwór „Die Klatsche," który właśnie spolszczyć zamierzam, nie jest zwykłą powiastką lub obrazkiem; w nim bowiem, pod osłoną alegoryi, kryje się cała kwestya żydowska. Srulik opętany, jako opętany, rozumie język zwierząt (jest takie mniemanie nie tylko u żydów) i rozmawia z biedną, wynędzniałą szkapą, bitą, prześladowaną, wypędzaną zewsząd. Ta właśnie szkapa — to naród żydowski, od tylu wieków rozproszony i tułający się po całej kuli ziemskiej.

W tej alegoryi, zaprawnej humorem i sarkazmem, mieszczą się poglądy jasne i trzeźwe, a chociaż w przygodach znędzniałej szkapy i Srulika

---

[1]) Bliższą charakterystykę Abramowicza i jego życiorys znajdzie czytelnik w książce „Don Kiszot żydowski," wydanie Paprockiego. Warszawa 1885.

opętanego ozwie się czasem zgrzyt, mogący razić chrześciańskie ucho, to jednak trzeba przyznać, że i żydowskie wady są niemiłosiernie przez autora smagane.

Forma utworu trąci nieco staroświecczyzną, co wynagradza jednak nieporównany humor i myśli głębsze, których pod osłoną alegoryi szukać należy. Posyłam ci, kochany Panie, przekład tego utworu; drukuj go, puść w świat w formie książki, a zdaje mi się, że stanie się ona przyczynkiem do obszernej już literatury tak zwanej „kwestyi żydowskiej,” kwestyi, o której napisano już tyle, lecz bądź to zbyt jednostronnie, bądź z małą znajomością przedmiotu.

Kl. Junosza.

Przedmowa Mendla sprzedającego książki. [1])

Rzecze wam „Mendeli mejcher sforim"—powiada Mendeli, wędrowny handlarz książek: Błogosławionym jest Stwórca, który uczyniwszy z niczego cały wielki świat, naradził się z liczną świtą aniołów i stworzył maleńki światek, czyli mówiąc inaczej, człowieka.

Ten nazywa się słusznie małym światkiem, gdyż zawiera w sobie wszystkie rodzaje stworzeń. W nim znaleść można najrozmaitsze dzikie zwierzęta i wszelakie rodzaje bydląt; w nim jest jaszczurka i pijawka, mucha hiszpańska i prusak i każdy robak szkodliwy; w nim jest na-

---

[1]) „Hakdomet Mendeli Mejcher Sforim." Abramowicz ma pseudonim „Mendel sprzedający książki" i w przedmowach do swych utworów przedstawia się czytelnikom jako wędrowny księgarz, który w budzie ciągnionej przez wychudłą szkapinę, wędruje od miasteczka do miasteczka i zatrzymawszy wóz pod ścianą synagogi, sprzedaje swój towar.

wet i djabeł, ruah [1]) i „szwarc jor“, i szatan oskarzyciel, i djablik (lec) wróg Izraela—i wszystkie, wszystkie złe duchy, zesłane na karę ludzkości.

Cudowne sceny widzieć można w tym światku: Oto naprzykład kot igra z myszą; łasica wciska się do kurnika i łby ptakom ukręca, małpa naśladuje wszystko co się koło niej robi; pies służy na dwóch łapach temu, co mu kromkę chleba pokaże; pająk zwabia ku sobie muchę i chwyta ją w swe sieci; komary grożąc żądłami, brzęczą... ale nie o tem chcę mówić.

Pochwalone niech będzie drogie imię Tego, który w milczeniu patrzy, co się w małym światku dzieje i nie rozsypuje go w proch! On nie unosi się gniewem i z pobłażaniem jest dla grzesznych ludzi...

Otóż opowiem poniżej, jaką wielką łaskę oka-

---

[1]) Na określenie różnych gatunków złych duchów mają żydzi bardzo bogatą terminologię, tak że trudno jest znaleść dostatecznej ilości odpowiedników polskich. Tu mamy aż cztery prawie jednoznaczące: „Ruah“ (po hebrajsku wiatr) oznacza zwykłego djabła, „szwarcjor“ jest termin powszechnie używany w przekleństwach; „soten“ (szatan) wspominany jest w Piśmie; ostatni zaś „Lec,“ którego nazwałem w przekładzie „djablikiem,“ jestto zły duch wędrowny.

zał mi Ten, który mnie był przedtem trochę ukarał...

Szkapina moja zdechła!.. panowie; moja wierna, zasłużona szkapina! która przez wszystkie dni swego żywota, woziła moje książki i była znaną na wszystkich drogach, pamiętała dokładnie wszystkie karczmy, wszystkie miejsca rozproszenia się dzieci Izraela, przeszła do krainy śmierci w mieście Głupsku!

Wstyd mi tu powiedzieć, że biedaczka zdechła, niestety, z głodu!... Pożywienie jej składało się zazwyczaj z odrobiny sieczki, czasem z kilku suchych kawałków chleba, które niekiedy kupowałem od biedaków chodzących z torbami. Biada, zaprawdę biada temu koniowi, którego los rzuci w służbę do żydowskiego handlarza książek. Włóczyć się on musi i włóczyć bardziej niż ten, który rozwozi drogie towary,—a jada niestety mało co. Sam księgarz żydowski zwykle niema co jeść i ze swoją żoną i dziećmi mrze głód przynajmniej dziesięć razy na dzień... Ale nie o tem chciałem mówić.

Ten, którego imię niech będzie błogosławionem, ukarał mnie—pozostałem bez konia; kupić nowego nie miałem za co, a tu akurat trzeba było jechać na jarmark. Było mi źle, o bardzo źle!

Gdy siedziałem zakłopotany i smutny, pokazał

się pewien człowiek, mój znajomy, przybliżył się do mnie i zawołał:

— Reb [1]) Mendeli, czy nie chcesz kupić szkapy?

— Kupiłbym chętnie—odpowiedziałem z westchnieniem, ale skąd mam wziąć kota? [2])

— Et!—rzekł — głupstwo, nic nie szkodzi, nie frasujcie się o pieniądze; możliwa rzecz jest, żeby wam nawet coś pożyczono; wiadomo przecie żeście człowiek rzetelny...

— Jeśli tak — odrzekłem — to kupię szkapę z radością, nawet zaraz, bez zwłoki; chodźcież ze mną, obejrzyjmy ten towar.

— Możecie sobie oszczędzić chodzenia—rzekł, ja mam tę szkapę przy sobie.

— Jakto? co to znaczy: przy sobie?—zapytałem zdziwiony.

— Tak, tak—odrzekł z uśmiechem—mam ją tu, pod kapotą.

— Wyśmiewacie się z brata swego—rzekłem z goryczą. Czybyście nie mogli znaleść innego przedmiotu do śmiechu. Dalibóg mnie teraz żarty nie w głowie!

— Broń Boże, wcale nie mam zamiaru żartować—odpowiedział i wydobył z pod poły porzą-

---

1) „Reb" tytuł nadawany ludziom poważniejszym, żonatym, znaczy to, co u nas pan.

2) Pieniędzy.

dną pakę papierów. Patrzcie no, reb Mendeli, to wszystko napisał jeden mój dobry przyjaciel. Imię jego znajdziecie tam w papierach, a całej swej pracy nadał on tytuł „Szkapy“ (Die Klatsche). Autor tej książki jest teraz troszkę (niech się to od was odwróci) jakby to powiedzieć... trochę umysłowo cierpiący. Wszyscy zaś jego dobrzy przyjaciele pragną, aby ta powieść została wydrukowana i rozprzedana co prędzej. A kto to zrobi lepiej niż wy, reb Mendeli? wy, którzy w naszym zakątku macie tak rozgłośne imię! Otóż prosimy was, abyście dobrze rozejrzeli się w tych papierach, uporządkowali je akuratnie, jak się należy, i kazali wydrukować. O warunkach pomówimy później, będziecie z nich zadowoleni z pewnością. Teraz, jeżeli potrzebujecie pieniędzy, możemy wam dać coś na rachunek. No jakżę, czy zgoda, reb Mendeli?

— Czy zgoda?! to mi dopiero pytanie! — zawołałem, oniemal tańcząc z radości.

Załatwiwszy najpilniejsze interesa, wziąłem się do rękopismu, uporządkowałem go jak się patrzy podzieliłem na rozdziały, rozdziałom nadałem tytuły, te wypisałem na oddzielnych kartkach, ażeby każdemu rzucały się w oczy. Słowem zrobiłem wszystko, co do mnie należało.

Teraz powiem kilka słów o tej „Szkapie.“ Zawiera ona w sobie wysokie myśli, pisana jest

w ten sposób, jak starzy autorowie pisali, a każdy może ją pojmować wedle stopnia swego rozwinięcia umysłowego. Dla ludzi prostych, o małym widnokręgu myśli, będzie ona poprostu bardzo ładną bajką; dla umysłów zaś wyższych— przenośnią, alegoryą, pod którą dostrzedz można nas grzesznych ludzi. Ja naprzykład, według mego stopnia pojmowania, znalazłem w tej książce prawie wszystkie dusze żydowskie, prawie wszystkie tajemnice naszego życia na tym biednym świecie.

Co do mnie, jestem pewny zupełnie, że każdy z was, według swego rozumienia rzeczy, będzie czytał tę książkę z zajęciem. Jeden zawoła:

— Aha! to dotyczy reb Josia! Drugi powie: aj, aj, to wyraźnie jest nasz Natan ben Chajkies! Załmon Jejkeli reb Motele! Herszko reb Abele!

Trzeci zaś krzyknie:

— Aj, aj! ja tu znalazłem tajemnicę naszej „taksy,” [1]) naszych „dobroczyńców miasta;” tajemnicę naszych obyczajów itd.

---

[1]) „*Taksa.*” W t. zw. guberniach zachodnich istnieją specyalne podatki od żydów. Rozkład tych podatków dokonywany jest przez starszyznę gminy i zazwyczaj ciężkiem brzemieniem spada na ludność ubogą. Abramowicz we wszystkich swoich pracach powstaje przeciwko nadużyciom „dobroczyńców miasta,” od których rozkład owych podatków specyalnych zależy.

Zapytywałem głupskich „dajonów” [1]) i prosiłem ich o rozstrzygnięcie ważnej dla mnie kwestyi. Zapowiedziałem bowiem wydanie drugiej części „Die Takse,” [2]) nie powiedziawszy: „bli neder,” [3]) a więc zobowiązanie moje było tak jak „neder.” Zapytywałem więc sędziów (dajonów) miasta Głupska, czy wydanie „Die Klatsche” będzie spełnieniem mego zobowiązania, czy nie?

Dajonowie myśleli, myśleli, drapali się długo, drapali—i po długiem zastanowieniu się, orzekli:

— Tak jest, reb Mendeli, ponieważ poznaliśmy już dokładnie kwintesencyę smaku „Taksy,” [4]) przeto rozwiązujemy twój ślub. Twoja „Klatsche” może zastąpić drugą część „Taksy.”

---

[1]) „Dajon” dosłownie znaczy sędzia. Rabin i dwaj dajonowie tworzą sąd religijny żydowski, który wyrokuje na podstawie praw, zawartych w pięcioksiągu Mojżesza i w Talmudzie.

[2]) Należy tu objaśnić, że pierwszem dziełkiem Abramowicza, wymierzonem przeciwko możnym żydowskiego świata, a raczej licznych światków żydowskich, było „Die Takse.” Książka ta wywołała w swoim czasie wielkie wrażenie.

[3]) Gdy żyd coś obiecuje—a nie powie „bli neder,” co znaczy: „bez zobowiązania się,” to taka obietnica jest „neder,” czyli obowiązkiem, ślubem, od którego uwolnić go może tylko sąd religijny.

[4]) Jestto ironia. Oni bardziej niż kto inny poznali kwintesencyę smaku „Taksy,” jako należący

Ileż dziękczynień dłużny jestem Najwyższemu!

Gdybym był dostał „Klatsche" tak sobie, poprostu, bez otrzymania zaliczki, to i tak byłoby dosyć! [1])

Gdybym ją był dostał wraz z zaliczeniem pieniężnem, lecz bez rozwiązania mego ślubu, to i tak byłoby dosyć!

Gdybym dostał ją z zaliczeniem pieniędzy i z rozwiązaniem mego ślubu przez dajonów, to i tak byłoby dosyć!

Gdyby dajonowie byli rozwiązali mój ślub i nie drapali się przytem tak szkaradnie, to i tak byłoby dosyć!

Gdyby dajonowie nawet drapali się szkaradnie, a ja nie wiedziałbym dlaczego oni się drapią—to i tak byłoby dosyć!!!

Gdybym wiedział dlaczego oni się drapią, a nie rozumiał tego, że w „Klatsche" jest taka moc, która może wywołać chęć drapania się, t. j. że

---

do starszyzny żydowskiej, która była w niej niemiłosiernie schłostana. Stąd też drapali się—bo jak się w sposób alegoryczny wyraża autor, treść „Taksy" kłuła ich, sprawiała im swędzenie.

[1]) Wzór do tego dziękczynienia wziął Abramowicz z modlitwy odmawianej przez żydów w święto pamiątki wyjścia z Egiptu. Modlitwa rzeczona przetłómaczona jest dosłownie na język polski, przez zmarłego niedawno Fabiana Sztraucha, w książeczce p. t. „*Hagada szeł pesach.*"

„Klatsche” swędzenie im sprawia—to i tak byłoby dosyć!!!

Za każdą z tych rzeczy oddzielnie powinienbym Najwyższemu dziękować! Za to że dostałem „Die Klatsche;” że mi dano zaliczenie, za które mogłem kupić konia; że dajonowie rozwiązali mój ślub co do wydania drugiej części „Die Takse;” że ci dajonowie drapali się przytem szkaradnie; że ja wiedziałem dlaczego oni się tak drapali; i że nareszcie rozumiałem, że „Die Klatsche” może wzbudzić chęć drapania się, czyli że może komuś sprawić swędzenie—to niech będą Najwyższemu tysiączne dzięki i niech to się stanie odkupieniem za grzechy nasze!!!

Otóż jest i krótka przedmowa do tego dziełka. Co w myśli, to i w mowie.

Pisałem pierwszego dnia miesiąca Ełuł, w budzie pełnej książek, na drodze pomiędzy Głupskiem a Teteriwką.

uniżony sługa
Mendeli *sprzedający książki.*

„Przyrównywam cię do koni (Klatsche) w wozach Faraonowych, o ludu Izraela!"
(„*Szir ha szirim*")
1. 9. [1])

ROZDZIAŁ I.

O tem jako Srulik chce zostać człowiekiem.

Jako Noe cudownym sposobem ocalony został od wielkiego potopu wód, tak i ja, Srulik, w naszych już czasach, ocalony byłem od istnego potopu swatów, którzy oblegali moją matkę, stręcząc dla mnie najrozmaitsze partye. [2]) Matka

---

[1]) Wiersz niniejszy z „Canticum canticorum" Abramowicz tłómaczy na żargon, tak jak zacytowano powyżej; w Biblii zaś Wujka wiersz ten brzmi: „*Przyrównywam cię, o przyjaciółko moja, jeżdzie w wozach faraonowych*" (Pieśń nad pieśniami, rozd. I. w. 9).

[2]) Swat, czyli stręczyciel małżeństw (Szadchon) w życiu zacofanych (prowincyonalnych zwłaszcza) żydów, odgrywa bardzo ważną rolę. Niektórzy ze swatowstwa robią sobie proceder. Bez pośrednictwa „Szadchonów" nie skojarzy się ani jedno stadło. Swat z rodzicami układa wszelkie warunki,

moja prosta, ale rozumna kobieta, nie była bogatą, chociaż biedną się nazywać nie mogła, miała albowiem ładny sposób utrzymania ze sklepu z galanteryą. Nosiła perły na szyi i żyła bardzo przyzwoicie.

Byłem jej jedynakiem, jej dumą; spełniała też chętnie wszystko, czegom tylko zapragnął.

Jednak gdy na żaden sposób nie chciałem się żenić tak młodo, próbowała mnie przekonywać, mniej więcej w ten sposób:

— Słuchaj-no Srulik, ileż to razy prosiłam Boga, ażeby pozwolił mi dożyć tej chwili, w której będziesz mógł się ożenić! Ty przecież jesteś mojem oczkiem w głowie, a ja pragnę tylko twego szczęścia i twego dobra na tej ziemi. Ustąp-że raz mój drogi i ożeń się nareszcie! Już czas, dalibóg czas, mój Sruliku; twoi towarzysze pożenili się, doszedłszy zaledwie do „bar-micwe." [1]) Speł-

---

a państwo młodzi najczęściej poznają się dopiero po ślubie. Wielu pisarzów żargonowych powstaje przeciw temu zwyczajowi.

[1]) „Bar-micwe" pełnoletność w obec Boga. Chłopiec, który dojdzie do tego wieku, jest już obowiązany odmawiać pewne modlitwy, pełnoletność taka liczy się chłopcom od 13 lat życia. Należy pamiętać, że to prawo sięga owych czasów, kiedy żydzi mieszkali w krajach Wschodu i że w tym okresie życia przypadała u nich także i dojrzałość fizyczna.

nij prośby twej matki, zrób jako Bóg rozkazał i uczyń tym sposobem radość duszy mojej.

Gdy jednak widziała, że wszystkie jej przemówienia przebrzmiewają daremnie i że stałą moją odpowiedzią na jej prośby jest tylko uparte: „nie i nie“—dała już pokój tej kwestyi i nie mówiła więcej o projektach małżeństwa.

Powiedziałem jej całą prawdę: że postanowiłem wyuczyć się wszystkiego, co wykładają w szkołach, zdać następnie egzamin i wstąpić do uniwersytetu, aby tam poznać mądrość doktorską („chochmes hadoktorie”) i ażebym później stał się pożytecznym światu i ludziom.

— Mamo—mówiłem do niej – teraz jest całkiem inaczej na świecie. Już czas, dalibóg, ażeby ocenić należycie to wielkie szczęście, jakie żydzi mają z zawierania zbyt wczesnych małżeństw, te wielkie rozkosze naszych młodych par!

Rodzice wyprawiają swoim dziatkom wesele z wielką ufnością w Boga („bitoche”). „Bóg wszystkim daje z czego żyć, zapewne więc i ta młoda para z głodu nie umrze” powiadają. Dobre to było w dawnych lepszych czasach, ale dziś ciężko żyć z pięciu palców, robiąc tylko gałki ze śniegu. Trzeba coś umieć, czegoś się nauczyć i myśleć o przyszłości, o tem co będzie później. Ty jesteś, mamo, kobieta rozumna, sama więc pojmujesz, że dziś inne są czasy niż dawniej i że po-

zostawanie przy starych pod tym względem zwyczajach nie prowadzi do celu.

Takiemi słowami, bywało, przemawiałem do matki i wskazywałem jej wiele przykładów z życia młodych ludzi naszego miasteczka, z życia młodych ludzi, którzy pożenili się bardzo wcześnie i sądzili, że opływać będą jak pączki w maśle („a szmalc-grub"). Masło się jednak prędko wytopiło i nie zostało z niego nic. Część tych dzieci żonatych włóczy się żebrząc, od domu do domu, niektórzy zostali nauczycielami (mełamed), [1]) a niektórzy żyją z dnia na dzień z niczego.

W obec takich argumentów, matka moja zgodziła się nareszcie na to, abym się uczył, lecz musiałem jej przyrzec solennie, że pozostanę zawsze uczciwym żydem. [2])

---

[1]) Do stanu nauczycielskiego u żydów biorą się tylko ludzie, którzy literalnie nie mają z czego żyć; zbankrutowany kupiec, rzemieślnik bez roboty, niedołęga do niczego niezdolny, byle tylko umiał czytać w „mowie świętej," t. j. w języku hebrajskim, bierze się do uczenia dzieci. Nędzarze to są ci krzewiciele oświaty, źle płatni, licho żywieni, wloką mizerne życie, a skoro im tylko perspektywa lepszego zarobku zaświeci, porzucają niewdzięczny swój zawód.

[2]) Według mniemania żydów - konserwatystów, człowiek, który się dotknie nauk świeckich—prze-

Miałem ja bardzo dobrą głowę, byłem zdolny, żadna rzecz z „Gemary" [1]) nie była dla mnie zbyt trudną; mówiono nawet w mieście, że wyrosnę kiedyś na wielkiego rabina.

Zamknąłem się w swej stancyi na dwa lata i studyowałem wszystko co było do egzaminu potrzebne. Matematyka, fizyka, gramatyka i języki szły mi tak łatwo, jak po maśle; bardzo ciężką za to była dla mnie historya i to, co oni (chrześcianie) nazywają w swoim języku „literaturą."

Musiałem klepać i kuć na pamięć przeróżne bajeczki o rozmaitych wojnach; o tem, jak ludzie od początku świata aż do naszych czasów mordowali się, zabijali, czynili jedni drugim krzywdy i cierpienia—i nie dość na tem, musiałem pamiętać, w jakim roku każda z tych awantur się stała, w jakiej miejscowości!

Tym podobne rzeczy nazywają się historya!

Oprócz tego, musiałem także kuć i uczyć się na pamięć najdziwaczniejszych baśni, powiastek o strasznych bohaterach, o potężnych pijakach

---

staje być uczciwym żydem (w znaczeniu sumiennego spełniania obowiązków religii).

[1]) „Gemara" część Talmudu, drugą jego częścią jest Miszna.

(„sztarke szikejrim"), o sławnych rozbójnikach; powiastek o przechodzeniu dusz [1]) („giłguł"), o czarownicach i czarownikach, o żywych i martwych wodach, o złotych jabłkach i złocistych koniach.

Oprócz tego, musiałem recytować z pamięci, jak papuga, różne kawałki poezyi („mlice") i wypowiadać o nich najrozmaitsze komentarze i domysły; domysły, których ani ja, ani autor owych poezyi, ani ten, który mi zadawał lekcye, nic a nic nie rozumiał.

Kazano mi się tem wszystkiem zachwycać, mówić z zapałem, jakby w natchnieniu, gestykulować rękami i nogami, mówić ze czcią o tem, jak o tajemnicach zakonu, lub słowach kabalistycznych. Kazano mi oddalać się najbardziej od rozumu i pojmować te rzeczy nie tak jakby rozsądek wskazywał; — to się nazywało literaturą! [2])

Mówcie co chcecie, ale gdy ktoś już wyszedł z wieku dziecinnego, to trudno mu wykuwać, wy-

---

[1]) Objaśnienie szczegółowe tego wyrazu znajdzie czytelnik w rozdziale następnym p. t. „Srulik i szkapa."

[2]) Do tego, dość oryginalnego co prawda, poglądu na historyą i literaturę, autor powraca jeszcze kilkakrotnie.

klepywać na pamięć podobne rzeczy i zatrzymywać je utrwalone w umyśle; trudno, szczególniej zaś temu, kto ma zdolną głowę i pała gorącą chęcią nauczenia się dobrych i pożytecznych rzeczy. Powtarzam raz jeszcze, że owe bajeczki były dla mnie bardzo a bardzo ciężkie; ciągłe uczenie się ich na pamięć zagważdżało mi głowę, odbierało odwagę i energię i czyniło ze mnie coś w rodzaju glinianego bałwana („a gejłom").

Częstokroć chodziłem jak przybity, jakby wczorajszy (niewyspany)... W takich chwilach wątpiłem, czy mój plan da się uskutecznić—pytanie albowiem, co może się stać?

Może na egzaminie nie przypomnę sobie jakiejś pustej bajeczki, albo się pośliznę na poezyi?... Wtenczas marzeniom moim będzie koniec, nauka doktorstwa, którą tak ukochałem, przepadnie! Wtenczas przyjdzie już kres wszystkim moim nadziejom i mnie samemu także! gdyż co będę robił i jak będę wyglądał?

Pozostanę przygnębionym żydem, narażonym na obraźliwe przycinki od swoich. [1]) Będę siłą, lecz bez materyi, to znaczy, że choć czuć będę moc, lecz nic zdołam wydobyć jej na zewnątrz,

---

[1]) Żydzi zacofani nie lubią takich współwyznawców, którzy oddawali się świeckim naukom.

nie stanę się nikomu pożytecznym, tak samo jak tylu, tylu niestety, z pomiędzy naszych żydów.

Pozostanę na zawsze żydem, ale nie człowiekiem! nie!

Będę jak owa pani w prostej ludowej powiastce; jak owa pani, która wszędzie czyści, a sama stoi wśród śmieci w kąciku, czyli poprostu mówiąc, jak miotła! Jak owa pani, która kręci się i uwija wszędzie, a jednak nic nie znaczy i nic nie warta jest.

Gdy oddaliłem się, odsunąłem od wszystkiego i rozpocząłem naukę, myślałem że cały świat jest mój, że stanę się człowiekiem w calem znaczeniu tego wyrazu!

Bezustanne wszakże uczenie się i kucie, a przytem rozmyślania ciągłe, pochłaniały wszystkie moje siły umysłowe i fizyczne; byłem jak nie człowiek. Stałem się chudy niby szczapa, osłabiony, ciągle zakłopotany przytem, tak że ludzie poznawać mnie nie mogli.

Doktorzy zapowiedzieli mi, ażebym, jak tylko Pan Bóg da lato, dużo bardzo chodził na świeżem powietrzu, gdzie za miastem, a prócz tego, żebym się mniej uczył, mniej rozmyślał.

— Ach! gdyby doktorzy lepiej znali się na rzeczy i uwolnili mnie od owych bajek („jene szmochtelajen”), które zagważdżały mi tylko głowę i nabawiały choroby!

ROZDZIAŁ II.

Srulik i Szkapa.

Pewnego pięknego dnia, w lecie, udałem się za miasto i poszedłem daleko w pole.

Przez kilka godzin z rzędu chodziłem tu i tam, wreszcie położyłem się na trawie w cieniu drzew, tuż przy rowie i patrząc dokoła, marzyłem, rozmyślałem...

Na polu pasły się pańskie kozły („panskie capes"), osły, całe tabuny koni, mających świadectwa o swem arystokratycznem pochodzeniu, o tem, że wywodzą ród od szlachetnych przodków. Jeden z ich dziadków był angielskim rumakiem, który przewędrował niegdyś przez ziemię Chanaan i tam ożenił się z klaczą arabską.

Inna znów babka pochodziła ze sławnego rodu i wąchała w swem życiu wiele prochu, a jeszcze inna babka była bardzo wysoko wykształcona, otrzymała edukacyę w sławnym zakładzie i nawet swego czasu w towarzystwie innych, również

wysoko wykształconych koni, dawała przedstawienia osobliwszych tańców i skoków.

Przytem należy wiedzieć, że u koni (ferd [1]) rasa gra nader ważną rolę. Krew szlachetna traktowana jest bardzo poważnie, a konie pochodzące z dobrego stada, noszą miano dobrze urodzonych. Otóż te szlachetne konie pasły się wszędzie z zupełną swobodą; wchodziły w szkodę i robiły spustoszenia w zbożu, które biedni ludzie zasiali w pocie czoła. Nikt jednak na to nie zważał, nikt im nie powiedział marnego słowa; konie też parskały, brykały, wierzgały nogami; a siła ich, moc i dzikość były prawie nienaturalne...

Nagle z oddalenia dał się słyszeć wielki hałas; krzyki ludzi zmieszały się z ujadaniem psów. Z początku zdawało mi się, że chłopi biegną z takim wrzaskiem, aby wypędzić ze swego zboża pańskie capy i konie—ale nie! Głosy dolatywały zupełnie z innej strony.

Zdjęty ciekawością, udałem się w stronę, z której głos dochodził, pragnąc zobaczyć co to jest?— i uszedłszy kawałek drogi, ujrzałem wielki plac porośnięty trawą i oczom moim przedstawiła się straszna scena:

---

[1]) Jest w tem wyrażeniu dwuznacznik; „ferd“ albowiem („Pferd“) w żargonie znaczy *koń* i znaczy także „głupiec.”

Ze wszech stron biegli łobuzy i ulicznicy, goniąc suchą, wychudłą szkapę, rzucając na nią kamieniami i szczując całem stadem psów najrozmaitszych gatunków („fun alerlaj porodes”). Prawda, że część tych psów szczekała tylko, warczała, pokazywała zęby, część jednak kąsała i gryzła ile tylko mogła.

Nie mogłem stać zdaleka i obojętnie patrzyć na tak nieuczciwy postępek. Trzeba mieć przecież litość, a podobne znęcanie się oburza poczucie ludzkości; po drugie, nie mówiąc już o litości, szkapa ma wszelkie prawo do mojej opieki, ponieważ wkupiłem się na członka do „towarzystwa opieki nad zwierzętami,” które wcale sobie nie życzy, żeby prześladowano i męczono żywe stworzenia, gdyż te mają także krew i kości i prawo życia na równi z nami.

Nie chcę ja się tutaj zapuszczać w stare i głębokie wywody o ludziach i bydlętach; niech będzie tak, jak powiadają, że ja, człowiek, jestem celem stworzenia, doskonałością pomiędzy wszelkiemi tworami—że tylko dla mnie, dla zaspokojenia moich potrzeb i przyjemności żyją inne stworzenia na świecie. Niechże już tak będzie, że jako człowiek jestem królem i panem wszelkich istot, że one muszą mi służyć, dźwigać ciężkie jarzma i składać dla mnie nawet swe życie w ofierze; niemniej jednak mam przecież dla tej

klaczy, dla tej prostej poddanej, obowiązki z samego nawet prawa, jeżeli już nie z poczucia ludzkości.

— Łobuzy! („kundejsim")—krzyknąłem, zbliżając się do gromady uliczników, [1]) co wam zawiniła ta nieszczęsna szkapa? czego od niej chcecie?

Część łobuzów nie zważała wcale na mój krzyk, inni słyszeli i śmiali się bezczelnie. Niektóre psy patrzyły na mnie ze zdziwieniem, inne szczekały zdaleka, a inne znów wytrzeszczyły oczy ze złością, jakby miały ochotę rzucić się z tyłu i rozedrzeć mnie na kawałki.

— Łobuzy!—zawołałem raz jeszcze—dlaczego znęcacie się nad boskiem stworzeniem, nad nieszczęsną szkapą?

— Piękna mi nieszczęsna!!—odpowiedzieli mi z ironią. Nieszczęsna! dlaczegóż się pasie tutaj? dlaczego tu łazi ta twoja piękna szkapa?!

— Jakto?—odrzekłem—przecież to jest wspólne pastwisko, przecież tu od niepamiętnych czasów pasie się wszystkie bydło miejskie! („a sztodt behejme").

— A, bydło miejskie! to znowuż co innego. Bydłu wolno—a jej zasie!

---

[1]) „Waise hewro" dosłownie „białe towarzystwo"—bosa komenda.

— Dlaczego? czyż ona nie jest taka, jak inne miejskie bydlęta?

— Może i nie taka—odrzekli.

— Ach! wy paskudniki! („szkocim")—zawołałem—ależ ona ma zapewne gospodarza, który płaci od niej wszystkie składki i opłaty miejskie, więc ona jest już przez to samo bydlęciem miejskiem!

— O tem my nic nie wiemy, a czy ona ma się liczyć do miejskiego bydła, to jeszcze wielkie pytanie?

— Jak wam się podoba; ale przedewszystkiem szkapa jest głodna, chce jeść!

— Niech sobie je robaki, choroby, rany!—zawołali. Co ona ma do nas?! Z jakiego powodu ma się obżerać i odjadać porządne bydło miejskie...

— Rozbójniki! („gazłonim")—zawołałem, nie mogąc powstrzymać gniewu—to tak! to was nic nie obchodzi, że pańskie capy, że całe stada koni pasą się w zbożu, że niszczą owoc krwawego potu ludzkiego—a biednej szkapie żałujecie garstki trawy! Nic was to nie obchodzi, że tam dzieją się szkody i krzywda wielu nieszczęśliwym ludziom; że to, co tamte konie stratują i zniszczą, mogłoby wystarczyć i dla szkapy i dla jej naj-

dalszych pokoleń? [1]) Łobuzy! niema w was sprawiedliwości ani na jeden włos nawet!

— He, he!—zawołali—patrzcie! on się gniewa, zadaje nam jakieś pytania?! Chodźmy bracia, co tu dysputować, niech on sobie krzyczy! Kto go będzie słuchał? Chodźmy bracia naprzód!

Któryś łobuz świsnął głośno i wszyscy szczując psami, z krzykiem puścili się za szkapą. Przez długi czas gonili ją zapamiętale, aż szarpana i gryziona przez psów, wpadła nakoniec w dół głęboki i powaliła się w błoto. [2])

Wieczór był bardzo piękny, cichy, niebo usiane gwiazdami, a na samym skraju widnokręgu ukazywał się księżyc, czerwony jak krew. Stado miejskie powróciło już z pastwiska i zjadłszy swe pożywienie, spoczywało spokojnie w oborach i stajniach. Wydojone dobrze krowy już spały.

Kupiłem wiązkę świeżego siana i zaniosłem je biednej szkapie, leżącej w dole. Zrobiłem to jako sumienny członek towarzystwa opieki nad zwierzętami. Nieszczęśliwa szkapa, straszliwie zmordowana, leżała w błocie i gdyby nie to, że sapała

---

[1]) Kinds-Kinds-Kinds-Kinds-Kinder.

[2]) Łatwo każdy zrozumie tę, bardzo zresztą przezroczystą alegoryę, że „szkapa” jest tu wyobrażeniem żydów.

i robiła bokami, możnaby mniemać, że to padlina leży.

— Szok! szok! szok!—rzekłem do niej po końsku—i klepiąc ją po szyi, położyłem koło niej wiązkę siana.

Szkapa podniosła głowę i spojrzała na mnie dużemi oczami, zdziwiona, że taki człowiek jak ja, zrobił honor biednej szkapie i wizytował ją wieczorem w... błocie.

— Szok! szok! — mówiłem do niej dalej po końsku, co znaczy: „dobry wieczór szkapo! przyniósłem ci wieczerzę; jedz, jeśli ci zostały jeszcze zęby w pysku..." Szok! szok! na litość Boską, musisz być bardzo zmęczona. Szok! szok!—rzekłem do niej kilkakrotnie, podsuwając jej wiązkę siana pod sam nos.

— Witaj młodzieńcze [1]) — odezwał się ktoś dziwnym, przytłumionym głosem.

Struchłałem, usłyszawszy to przywitanie. Zkąd się tu kto wziął?—pytałem sam siebie zdumiony. Kto się tu może odzywać, kiedy ani blizko mnie, ani nigdzie wokoło, niema nawet śladu człowieka?

— Nie bój się młodzieńcze—dał się znów słyszeć ten sam głos; bądź człowiekiem i nie lękaj się... to ja, szkapa, odzywam się do ciebie.

---

[1]) „Boruch-abo" (bądź błogosławiony przybyszu). Temi słowy hebrajczycy pozdrawiali swych gości.

— Szkapa! — krzyknąłem i przerażony, zdumiony, stanąłem jak gliniany bałwan.

Gdym trochę przyszedł do siebie, pomyślałem: Istotnie to stworzenie podobne jest do szkapy... Wkrótce jednak przypomniałem sobie, że to dziś środa i noc—najlepszy czas dla djablików (lec).

— Nie myśl tak...—rzekła szkapa wyraźnie. To jest bardzo prosta rzecz, szkapa odzywa się do ciebie.

— Co? jakto?—szkapa mówi?

— Niema w tem nic nadzwyczajnego—odrzekła; wypadki podobne zdarzały się już. W historyi znajduje się wiele wzmianek o mowach, które miewały konie, od czasu oślicy Balaama aż do chwili obecnej.

— Aj! aj!—zawołałem, przypominając sobie różne bajki, których uczyłem się na egzamin... Tak, to prawda jest... ale szkapa!

— Czegóż to dowodzi? Oślica Balaama była także szkapą. Niemniej jednak bądź spokojny; ten kto przemawia do ciebie—nie jest szkapą.

— Nie jest szkapą?! Jakże więc? Pierwej mówiłeś żeś szkapa, teraz powiadasz żeś nie szkapa! Nic innego, tylko musisz być...

— Djabłem—chcesz powiedzieć—rzekła, przerywając mi. Nie, nie, mój przyjacielu, mylisz się; ja nie jestem djabłem, powiadam ci—i nie jestem także szkapą. Powierzchowność moja jest taka

jak szkapy – ale naprawdę jestem zupełnie kto inny. Gdybyś znał moją historyę, gdybyś wiedział o tem, co działo się ze mną—zrozumiałbyś mnie wówczas i nie dziwił się wcale.

Prosiłem szkapy, żeby opowiedziała mi swe dzieje, że posłucham bardzo chętnie. Zamyśliła się trochę, milczała przez chwilę, a później zaczęła smutnym głosem w te słowa:

— Kto chociaż cokolwiek zaglądał do książek, albo też słyszał coś z opowiadania starszych, ten wie, że ludzie nawet za życia mogą przybierać kształty rozmaitych zwierząt i wszelakich bydląt, albo też przybierać inne kształty po śmierci, co jest rzeczą bardzo zwyczajną. Dawniej podobne wypadki przytrafiały się często. Znajdujemy w historyi, że Semiramida, królowa Babilonu, na starość przybrała kształt gołębia. Daniel w natchnieniu proroczem widział cztery królowe w postaciach lwów, lampartów, niedźwiedzi. [2]) Nabu-

---

[2]) Według Pisma Św.: „A cztery bestye wielkie występowały z morza różne jedna od drugiej.

„ Pierwsza podobna lwowi, mając skrzydła orle. etc.

„ Bestya druga podobna niedźwiedziowi...

„ Inna bestya podobna lampartowi.

„ Bestya czwarta straszna i sroga i bardzo mocna, mająca zęby żelazne wielkie... etc.

(Daniel VII. 4. 5. 6. 7).

chodonozor zaś król babiloński, przy końcu dni swoich stał się niedźwiedziem. [1]) Opowiadają, że u greków takie rzeczy były bardzo częste. Ich bóg, Jupiter, który z przeproszeniem bardzo lubił rozmaite awanturki, raz zamienił się w byka, a królewnę Jo, córkę króla Inachusa, w krowę— i w takim stanie długo się włóczył za nią po świecie. W ich kraju (u greków) istniał także osobliwszy rodzaj stworzeń: półbydląt, półludzi. Te stworzenia zwano centaurami. Jeden z nich, Chiron, [2]) pół człowiek a pół-koń, który miał długą brodę i pejsy, a na głowie jarmułkę („a spodik“), stał się nauczycielem księcia Teseusza. [3]) Rozumie się, jaki naród, taki nauczyciel; ludzie byli dzicy, więc też i nauczyciel był dziki. Dla sztukmistrzów (taschenspiller), adeptów czarnej magii

---

[1]) W Piśmie Św. jest tak: „Tejże godziny wypełniło się słowo nad Nabuchodonozorem; bo go wyrzucono od ludzi, a trawę jadał jako wół, a rosą niebieską ciało jego skrapiane było, aż na nim włosy urosły jako pierze orle, a paznogcie jego jako pazury u ptaków.”

(Daniel IV. 33).

[2]) Chiron centaur, syn Kronosa i Filiry córki Okeanosa, zwany najsprawiedliwszym z Centaurów, uchodził za sławnego lekarza, wróżbitę, gwiaździarza i muzyka, Mieszkał w jaskini góry Pelionu, wychował i ukształcił wielu bohaterów.

[3]) Teseusz, bohater Attyki.

(szwarce kuncen macher) i takich, którzy potrafią zamydlać ludziom oczy, było to śliczne życie! Oszukiwali oni świat i robili takie rzeczy, że aż strach słuchać. Mnóstwo ludzi, mnóstwo książąt i księżniczek stało się przez nich dzikiemi bydlętami. Czytając w książkach opisy podań każdego narodu, można zobaczyć, że niejeden książę, niejeden król przez nich przemienił się w capa, w konia, w wołu lub tym podobne bydlę; niejedna królewna była przez nich krową, cielęciem, nawet... kozą; niejeden książę, niejeden hrabia zrobił się przez nich psem, wilkiem, niedźwiedziem, szarpał ludzi, wysysał z nich krew, wydzierał szpik z kości! Cała ludność wsi i miast była przez nich zamieniana w stada baranów i cierpiała wiele bólów, prześladowań i mąk. Oto co się działo na świecie, oto co siła zaślepienia, czarodziejstwo i bratanie się z djabłami narobiły!! Biedna, nieszczęśliwa ludzkość!!

W owym to czasie—mówiła dalej szkapa—istniał książę, syn królewski, piękny, mądry, posiadający wszelkie przymioty, słowem rzadkich zalet (antik). [1]) Ten to syn królów w młodości odbywał liczne podróże, ażeby poznać świat. Król

---

[1]) Na oznaczenie wielkiej doskonałości, w żargonie używają wyrazu „antik!"

Egiptu, tego kraju cyganów [1]) i kuglarzy, rozgniewał się bardzo na księcia, który przyszedł do niego w gościnę. Z wielkiego strachu, aby się z nim później książę nie obrachował i nie wypędził go z jego krajów, zwołał do siebie wielkich czarowników i rzekł do nich: „Trzeba by tego księcia zajść mądrze i obrobić po turecku" (oszukać). Czarodzieje natychmiast zamienili księcia w szkapę i zaprzęgli go do ciężkich robót.

Nieszczęśliwa szkapa musiała wozić cegłę i glinę, nawiozła jej całe góry i z tego powstały miasta: Rameses i Pytom. [2]) Przez długi czas cygani męczyli go, napełniali mu życie goryczą, aż nareszcie zlitował się Bóg. Przyszedł mąż wielki i sławny, który drwił z cyganów i czarów ich i niweczył te czary imieniem Boga. Wymówił „Imię"—i oto ze szkapy stał się znowuż książę.

---

[1]) Cyganami nazywają żydzi wszystkich w ogóle ludzi o ciemno-zabarwionej skórze.

[2]) „Przetoż mądrze sobie pocznijmy z nim, by się snadź nie rozmnożył, a jeśliby przypadła wojna, aby się nie przyłączył i on do nieprzyjaciół naszych, i nie walczył przeciwko nam, i nie uszedł z nimi.

„A tak ustawili nad nim poborce, aby go dręczyli ciężarami swemi; i zbudował lud izraelski miasta składu faraonowi: Pytom i Rameses."

(Exodus I—10, 11).

Przez cały czas żywota tego wielkiego męża i jego cudownych uczniów, którzy nastąpili po nim, książę wyglądał znowuż jak człowiek i żył szczęśliwie w dostatkach, w czci, u siebie we własnym kraju. Później wszakże, gdy ci wielcy mężowie powymierali, wrogowie znowuż księcia zamienili w szkapę i w tym kształcie przepędzali go przez wielką liczbę lat, z jednej okolicy w drugą. Nieszczęśliwemu księciu bardzo właściwem jest imię „wiecznej szkapy.” [1]) Wiecznie albowiem ta szkapa włóczyła się z miejsca na miejsce, aż na koniec świata. Kto chciał, jeździł na niej; kto w Boga wierzył bił ją i prześladował; każdy kładł na jej grzbiet swe ciężary i tłomoki. I tak wiecznie, szła ona w jarzmie, wiecznie zmęczona, cała w krwi i pocie, ciągnęła cegłę i glinę, z której już całe miasta zbudowano“...

W tym czasie (mówi tu już Srulik) głowa moja pełną była cudownych opowieści, w tym czasie, oprócz powiastek, jak np. „tysiąc i jedna noc,“ „centurye wenturye,“ „bowo-majsse,“ [2]) które

---

[1]) Trzeba rozumieć „Żyda wiecznego tułacza”.

[2]) Książki te istnieją w żargonie i należą do dawniejszych wydawnictw, o „Maasse buch” wspomina także G. Karpeles w świeżo wydanem dziele swem „Geschichte der Jüdischen Literatur.“ Nie bez słuszności twierdzi ten autor (Judisch-deutsche Literatur str. 1,020), że „wiele baśni wschodnich

czytałem z wielkim gustem w młodości, musiałem się uczyć na egzamin jeszcze innych bajek. Przytem serce me było gorące, krew jak ukrop, wyobraźnia płomienna i ognista, uczucia zapalne jak proch i czułe na najmniejsze dotknięcie. Oczy moje podobne były do krynic, do źródeł gorących. Każde cierpienie wywoływało w nich łzy; cóż więc dziwnego, że opowiadanie o nieszczęśliwym księciu wzruszyło mnie i wzburzyło do głębi.

— Powiedz mi, proszę cię—rzekłem—gdzie się znajduje teraz ów nieszczęsny, prześladowany od losu (szlimmazełdiger) książę?

— Książę—odpowiedziała szkapa — ten prześladowany od losu książę, leży tu przed tobą w postaci nędznej szkapy!..

Westchnąłem—zapłakałem i gorącemi łzami oblałem moją biedną szkapę.

żydzi do Europy z sobą przynieśli,“ ztąd też i literatura ich (a naturalnie i literatura żargonowa) obfituje w cudowne opowieści i legendy.

ROZDZIAŁ III.

Co dalej opowiada Szkapa.

Księżyc błyszczał w górze i srebrnemi promieniami patrzył na smutną scenę, odgrywającą się w głębokiej jamie błotnistej.

Gdy przyszedłem już nieco do siebie i podniósłszy głowę, rzuciłem wzrok na szkapę—ujrzałem, że ta gryzie siano spokojnie, obojętnie, chłodno—zupełnie tak, jak rodowita, najprawdziwsza szkapa...

W sercu mojem zaczęły się burzyć najdziwniejsze uczucia. Dopiero co zdawało mi się, że życie ze mnie uchodzi z litości nad tą nieszczęśliwą, to znowuż porywała mnie złość... Jakto? ona tak sobie leży w błocie spokojnie, obojętnie, jak gdyby nie czuła, nie rozumiała gorzkiego swego położenia!.. tak porusza szczękami i chrupie siano, jakby nie pamiętała już tej strasznej sceny, tych uderzeń, które otrzymała niedawno!?

Zacząłem powątpiewać i przypuszczać, że to wzruszające opowiadanie o nieszczęśliwym księ-

ciu jest tylko snem—i że istotnie mam do czynienia ze zwyczajną, ordynaryjną szkapą, która nie posiada w sobie ani jednej żyłki księcia, która nie ma odrobiny poczucia godności własnej, honoru—i nie jest w stanie uczuwać boleści, cierpień, obrazy i wstydu. Gdyby miała chociaż odrobinę poczucia godności własnej, chociaż cokolwiek rozumu, czyż mogłaby doleżyć na miejscu tak spokojnie?!

O! krew powinna się w niej wzburzyć i zakipieć jak w kotle, powinien w niej zadrgać każdy nerw, każda kostka! Powinna przecież pomyśleć, że nie dobrze jest istnieć na świecie jako wieczna szkapa, nie dobrze cierpieć od lada łobuza, lada psa. Powinna rzucać się i szarpać na wszystkie strony i wszelkiemi srodkami starać się zostać napowrót człowiekiem!..

O tak, wstydziłem się sam za siebie. Czyż nie jestem waryatem? Co zrobiłem? Dla kogom tak wzdychał, tak płakał, dla kogo wylewałem krwawe łzy? Dla kogo chciałem złożyć w ofierze moje dni, moje lata, moje życie całe? Dla kogo? dla szkapy! dla pażernej (jadeszliwer), poodparzanej szkapy!

Obejrzałem się na wszystkie strony i ze złamanem sercem odsunąłem się nieco dalej.

Szkapa westchnęła ciężko, a to jej westchnienie uderzyło znowuż w me serce jak piorun! Za-

drżałem, gorące uczucie litości znowuż napełniło me serce...

Jedno jej westchnienie przyciągnęło mnie do niej jak magnes. O, tak, tak! — pomyślałem— tak dobrze! Wzdychaj biedna szkapo, wzdychaj, dobry to znak...

Z tego westchnienia wygląda nieszczęśliwy książę, jak rwie i szarpie się ze wszech sił, aby znowuż ludzką postać odzyskać. W tem westchnieniu jest głos wołający: Ja żyję i czuję tak jak wszyscy ludzie! W tem westchnieniu słychać krzyk błagający litości: Gwałtu! ludzie, wybawcie mnie! powróćcie mi moją dawną postać!! Wzdychaj, wzdychaj nieszczęśliwa szkapo, westchnienie twoje coś zdziała, może ono wzruszy kogo, serca przebudzi..., może zostanie kiedyś usłyszanem przez ludzi, aż zadrżą, uczują w sobie litość i pomogą ci... Skoro tylko wzdychasz, to już dobrze!..

Gdy tak rozmyślając, rzuciłem okiem koło siebie, spostrzegłem, że obok mej szkapy niema już ani kłaczka siana! Zjadła je do szczętu, nie zostawiła nawet ani jednej trawki, ani jednego zdźbła...

— Aha—pomyślałem. Otóż co znaczą jej westchnienia! Wzdycha ona dlatego, że nie nażarła się do syta, nie napchała kiszki! że nie ma przed sobą jeszcze jednej wiązki siana, jeszcze garści trawy!.. Gdyby jej dać masę siana, masę trawy,

a do tego kilka miarek owsa, byłaby szczęśliwą, najszczęśliwszą!! Byle tylko owies, byle napchana kiszka! Czysta szkapa, dalibóg!.. Ta myśl kręciła mi w głowie jak świder, zadrżałem i posmutniałem...

— Ty wstrząsasz się—rzekła szkapa, spojrzawszy mi w oczy—zapewne nie musi ci tu być dobrze obok mnie.

— Ja jestem człowiek—odpowiedziałem złośliwie—posiadam ludzkie uczucia, ludzki rozum. Mnie nie podoba się takie miejsce brzydkie, takie błoto! Być może, iż tobie ono przypada do gustu!

— Zapewne, dobrze ci tak mówić!—odrzekła kiwając głową, lecz gdyby kto inny na mojem miejscu przez tak długie lata był szkapą, tyle wycierpiał, tyle przeniósł, tyle prześladowań od każdego doznał, to straciłby zupełnie i uczucia wszelkie i rozum, postradałby nawet mowę swoją i stał się najprawdziwszem bydlęciem.

— No, no—rzekłem przerywając jej mowę—ty lubisz błoto? tobie dobrze w błocie?

Ona do mnie:

— Zdaje się że dobrze. Zawsze lepiej niż przedtem, niż dawniej. Bywały czasy, kiedy pędzano mnie ciągle i nie mogłam ani na minutę odpocząć. Moi wrogowie gonili mnie, gonili i wybijali ze mnie ostatnie siły. Teraz przynajmniej

odpoczywam sobie cokolwiek. W błocie miękko mi leżyć i mogę chociaż trochę wyprostować schorzałe, stare kości...

Ja do niej:

— A te uderzenia, które niedawno otrzymałaś z rąk łobuzów? a psy, które przed chwilą napadały na ciebie? Czyś zapomniała już o nich? Czy z tem ci także dobrze?

Ona do mnie:

— Zawsze lepiej niż przedtem. Te psy! czy to są psy? Trzeba ci było widzieć psy, któremi ongi ci djabli niemcy mnie szczuli! Ah! to były wielkie, uczone psy! Umiały one służyć, kręcić ogonami i były zdatne do wszystkiego, co im tylko kazano! Te mogłyby być profesorami wśród psów! Miały one rozum prawie jak ludzie, ale serca całkiem psie! Ukąszenia ich były straszne; dotychczas jeszcze noszę ślady ich zębów na własnej mojej skórze. Te psy, które widziałeś dzisiaj—w porównaniu z tamtemi, to poprostu cielęta, zakute łby („a grobe kop”), bezrozumne, niewiedzące nawet jak napaść, jak ukąsić! Ujadają one bez sensu, byle ujadać, i szczekają nawet na księżyc. Kawałkiem chleba można im zatkać gębę, a wtedy można przy nich swobodnie kraść, rabować w ich oczach!.. Albo łobuzy! Sąż to łobuzy w porównaniu z ulicznikami dawnych czasów! którzy umieli robić głupstwa, zawrócić

każdemu głowę i wyprawiać dziwne sztuki! którzy udawali niedźwiedzi, krzyczeli bu! bu! i straszyli świat! Prawda, że i dzisiejszym łobuzom nic nie brakuje, lecz nie idą oni nawet w porównanie z dawnymi. Gdy tamci, bywało, zabrali się do mnie i zaczęli wyprawiać swoje sztuki, to o mało życia nie wypędzili ze mnie!.. A czy mało namęczyły mnie te silne konie, które widziałeś dzisiaj wśród zboża...

— Co mówisz?—zapytałem zdumiony—konie cię męczyły? Co to znaczy? jaki związek mają konie, dzisiejsze konie z tobą?

— Gdyby ludzie umieli głębiej zajrzeć w każdą rzecz, wiele kwestyi byłoby wyjaśnionych—rzekła szkapa... Nie szkodzi, ja mówię do rzeczy. Otóż te konie są wcieleniem (giłgułym) tamtych strasznych, dzikich łobuzów, którzy swego czasu męczyli ludzi, robili awantury i wyrządzali wiele szkód. Każdy z nich był bezduszny, a pracować na niego musiały tysiące dusz! Te pracujące dusze jadły suchy chleb, oblany potem i znojem, prócz tego, nie miały nic ze swej ciężkiej pracy. Tamci ze swej strony zawojowywali świat, a pracą innych dorabiali się majątków, wsi, miast, pracą innych przychodzili do wielkich fortun—a ta odrobina pożywienia, którą dawali pracownikom, aby w nich życie podtrzymać, nazywała się jałmużną! Ci byli biednymi żebrakami, oni

zaś miłościwymi panami, szczodrymi filantropami, dobroczyńcami! Jeżeli oni pracowali na nich w pocie czoła, to była rzecz bardzo zwyczajna; tak powinno być; gdy zaś który z możnych dał jakąś jałmużnę głodnym, chorym z ciężkiej pracy („fun zejer szwere charowanje"), to cały świat się tem zajmował; opiewano to, opisywano we wszystkich gazetach, rozkładano na tysiąc talerzy (men culejgt ojf tojzent telerlich), ażeby świat wiedział, co to za miłosierny, dobry, nabożny, dyamentowy człowiek!! Niegdyś konie te były szlachetnymi ludźmi — próżniakami. Bo niech mi kto powie, do czego są właściwie przydatne te szlachetne, uczone konie? Pracują tylko zwyczajne, proste konie; one orzą ziemię, wożą drzewo i wodę, ciągną ciężary i robią wszystko, co potrzeba w gospodarstwie. Szlachetne konie przeciwnie, prowadzą szczęśliwe życie w wygodnych stajniach, przy trawie i przy owsie. Czasem wyjeżdżają na spacer ze swym panem, przebierają nogami i pysznią się swemi tłustemi brzuchami i piękną uprzężą! Albo też tańczą, dają przedstawienia w cyrkach i wyłudzają za to od ludzi pieniądze. I jaki z tego pożytek, pytam, że koń tańczy i robi różne sztuki? (macht „hukes pukes"). Za co taki koń ma chodzić w złocie i za co mają go pieniędzmi obsypywać? Niech lepiej pracuje i nie chodzi w szkody...

— Sza! przycichnij-no trochę — rzekłem do niej—czy ty zawsze tak wiele mówisz?

— Ach!—odpowiedziała szkapa z westchnieniem—po większej części milczę i nie mogę przemówić ani jednego słowa nawet! Nie jest pożądanem żebym mówiła otwarcie, więc też ani pary z gęby nie puszczam. Umiem być ja też szkapą ze wszelkiemi szykanami („mit ałłe piszczewkies"). Mów do mnie od dziś przez cały rok—nie będę słyszała; krzycz: idź na prawo!—ja pójdę na lewo; chyba że mnie kto weźmie za czuprynę i pociągnie gwałtem. Wtenczas może na mnie jechać kto chce, nawet dzieciak, głupiec („a szejte"), ulicznik, drab, ladaco, niedołęga. Były pewne czasy, w których otwierano mi gębę i ciągniono za język, wtenczas wyrzucałam z siebie „dziewięć miar gadania," [1]) mówiłam o wszystkiem, o ogniu i o wodzie. Wtenczas wybuchało ze mnie jak z wulkanu, wszystko co nagromadziło się w sercu; całe chmury trosk, zgryzot, męki i cierpień... Wzbierały moje żale jak bystre potoki na wiosnę, do głowy napływały straszne fale, rozrywały mózg i wydobywały się na wierzch przez oczy.

---

[1]) „Dziewięć miar gadania." Jest u żydów podanie, że Bóg, udzielając ludziom różne dary, dał im także „dziesięć miar gadania" (mowy). Z tych jedna tylko dostała się mężczyznom, zaś dziewięć zabrały... kobiety.

Pękała we mnie żółć, przemawiało zgorzkniałe serce...

— Powiedz mi duszo—zawołałem, powiedz mi duszo, skoro się już o tem zgadało, dlaczego wchodzisz w szkody. Wszak dziś za to głównie napadano na ciebie; wszak krzyczano głośno, że robisz szkody drugim.

— Rozważ tę rzecz lepiej—odrzekła, a nie będziesz mnie obwiniał. Jeżeli mowa o szkodach jakie zrządzam, trzeba też powiedzieć coś i o pożytkach, które przynoszę, albowiem jak nauka wymaga, trzeba obliczać i jedno i drugie. Jeżeli tego nie zrobimy, to wypadnie, że prawie każdy przynosi szkody, że nikt nie jest wolny od wad, nawet ten, który krzyczy na innych: gwałt! Według dzisiejszego rzeczy porządku, w całym świecie, tu i tam, są szkody taką wadą, takim grzechem, który da się usprawiedliwić przez takiż sam grzech. Dlaczego, powiadają, tamten robi szkodę? To jest taki grzech, że choćbyś nie wiem jak krzyczał, on grzechem pozostanie i nie będzie ani na krok cofnięty. Krzyk nie pomoże; będą bowiem popełniali ten sam grzech pod maską, pod pozorem filantropii lub pożytku. Szymon [1])

---

[1]) „Szymon i Rubin.” W Talmudzie, mianowicie w traktacie „Bawa mecja,” zawierającym prawo cywilne żydów, kwestye sporne przedstawione

ograbiony krzyczy: Rubin mi szkodzi! Tak — odpowiadają. Rubin robi trochę szkody, lecz nie ma wyboru, cóż ma czynić? Spojrzyj jednak, że jest pożyteczny z innego względu. A ja czy jestem pożyteczna? Czy przynosiłam i przynoszę światu korzyść? Tego zdaje się, nikt nie zaprzeczy. Od dawnych, odwiecznych czasów jeżdżą na mnie, każdy miał ze mnie korzyść i czyich grzechów jużem nie przenosiła na sobie w mem życiu!? Ja sądzę, że praca moja warta jest o wiele więcej niż wiązka siana. To jedno — po drugie nie zapominaj że przygnębiają mnie różne okoliczności, zmusza potrzeba. Gdybym sama nie poszukała sobie pożywienia, nikt by mi go nie dał. Musiałabym założyć zęby na półkę i umierać z głodu. Nie oczekuję, nie spodziewam się od ludzi zaszczytów, ale skoro się żyje, trzeba jeść. Czyż ja żądam czego więcej? A jakież to są, za pozwoleniem, wszystkie te szkody? Wiązka siana, trochę trawy!.. Tamte piękne konie mają wbród wszystkiego, wolno im paść się wszę-

są na przykładach; np. Szymon i Rubin znajdują na drodze ubranie. Szymon powiada „to moje,” Rubin powiada „to moje!” Idą do sądu i sąd wyrokuje, aby strony złożyły przysięgę. Ten traktat z komentarzami rabi Raszi jest przetłómaczony na żargon przez p. J. M. Jawitz w książce „Szewili hałamdim” (przewodnik dla nauczycieli).

dzie na trawie—dla czegóż więc robią szkody? i jeszcze jakie szkody! tratują zboża, pustoszą pola i robią zniszczenie...

— Jaki związek, powtarzam jest między tobą a tamtemi końmi, czyli jak ty ich nazywasz łobuzami?

— Te łobuzy, czyli jak ty ich nazywasz konie bywało, za dawnych, strasznych lat, robili ze mną różne obrachunki i mordowali, prześladowali mnie do ostatniego tchu. Podczas gdy cała ich kompania wszczęła wielką wojnę z turkiem[2])— mnie wierzgali, deptali nogami, wyciskali ze mnie wszelkie soki żywotne. Zdzierali ze mnie skórę, szarpali członki, piętnowali mnie, piekli na rozżarzonych węglach. Na mojej skórze wypisana jest cała historya prześladowań, dzikości i przesądów, które panowały w owych ciężkich, gorzkich czasach.

Moje obdarte boki, pełne siniaków, mój odparzony grzbiet, to żyjące dzieje owych dawnych pokoleń! Patrz i czytaj.

Zaledwie szkapa skończyła tę przemowę, wstrząsnęła się nagle, nastroszyła uszy i zaczęła nasłuchiwać, jakby przeczuwając zbliżenie się czyjeś...

---

[2]) Prawdopodobnie autor miał na myśli czasy wojen krzyżowych.

Wkrótce zerwała się dziwnie prędko, jak gdyby ją wąż ukąsił, trząchnęła grzywą i spojrzała przed siebie jak rodowita szkapa.

W tejże chwili ktoś nadszedł, wskoczył na nią i odjechał. Zniknęła mi z przed oczu.

ROZDZIAŁ IV.

Srulik zaczyna bredzić.

Jak skrzydła wiatraka cały świat obracał się przedemną.

Wszystko co widziałem własnemi oczami i co na własne uszy słyszałem, wszystko wydawało mi się jakby do góry nogami, odwrotnie. Wszystkie stworzenia zmięszały się we mnie, poprzemieniały się jedne na drugie; myślałem, że nic nie jest właściwie tem czem się być wydaje, forma zewnętrzna nie odpowiada treści.

Zapewne indyanie, którzy wierzą że dusze ludzkie przechodzą w rozmaite stworzenia—i nasi kabaliści (nie przymierzając) muszą mieć słuszność. Cały świat jest pełen „giłgałów".

Objaśnienie, znajdujące się w niektórych modlitewnikach „sidur" o tem, że jest rzeczą miłą Bogu spożywać rybę w szabas, gdyż tym sposobem poprawia się los duszy w rybie uwięzionej, jest bądź co bądź prawdziwem! Jeżeli tak, to świat ma zupełnie inną fizyognomią; trzeba zapa-

trywać się na niego innemi oczami i każdą rzecz uważać inaczej.

Bardzo być może, że w człowieku pogrzebany jest pies i na odwrót—w psie znajduje się człowiek. Funt świeżej ryby może być funtem drgającej jeszcze życiem duszy. W tłustym karpiu, leżącym na półmisku, spoczywa może gruby, spasły „baał takse,” [1]) przyprawiony z pieprzem i z cybulą! Jeżeli tak, to można łatwo odpowiedzieć na mnóstwo pytań, dotyczących przeznaczenia i obyczajów wielu ludzi.

Można z łatwością odpowiedzieć, zkąd wzięli się pomiędzy nami głupcy, bigoci, „batłonim”, [2]) ludzie kahalni, łapownicy (hapers), gospodarze taksy, starszyzna (gaboim), dobroczyńcy różni, sukcesorowie miejscy, [3]) fajne berye, szacowni ludzie, tanecznicy, wylizywacze talerzy (telerleker) i plotkarze (kochłefer).

Możnaby zrozumieć kto oni są, zkąd wyrośli, jaki jest ich cel i dążenie wpośród nas, nieszczęsnych, grzesznych ludzi...

---

[1]) W jednym z poprzednich przypisków objaśniłem co znaczy „Takse”. „Baał takse” zaś jestto jeden ze starszych gminy, który głównie zajmuje się rozkładem specyalnych podatków żydowskich.

[2]) Przesiadujący po całych dniach w bóżnicy.

[3]) „Sztodt-jejrszim” posiadacze rozmaitych monopoli.

Od tych myśli tak mi się w głowie kręciło, że nie pamiętam nawet, w jaki sposób dostałem się do domu, co się tam ze mną stało i kiedy położyłem się spać. Lecz gdy już obudziłem się, ujrzałem matkę siedzącą przy mem łóżku, a trochę dalej starą babę chrześciankę (di ałte goje), oraz jakiegoś mężczyznę.

— Jak się czujesz, Srulik—spytała mnie matka z zapłakanemi oczami—czy lepiej ci trochę?

— Jakto? jak ja się czuję?—zapytałem zdumiony; czuję się zdrowym, jak przedtem.

— Bogu dzięki i chwała! — zawołała matka z radością... Ty, moje dziecko, byłeś bardzo chory; obawialiśmy się, żebyś (uchowaj Boże) na zawsze nie pozostał bez zmysłów!

Baba coś szeptała i ziewnęła kilkakrotnie na cały głos, mężczyzna zaś kręcił się w kącie, przewracał oczami, wyrabiał różne miny i szczególne grymasy, tupał nogami, jak gdyby bił się z jakąś niewidzialną osobą i mówił takie mniej więcej słowa:

„Zaklinam was imieniem Lucyperieła, imieniem Plutonieła, Cerberieła, Prozerpinieła, imieniem... imieniem i imieniem! ażebyście nie mieli więcej władzy nad Srulikiem synem Cipy! ażebyście zniknęli i rozproszyli się na puste pola, na puste lasy, gdzie stoi kamień, a na kamieniu jeszcze kamień; gdzie stoi góra, a na górze jeszcze góra,

gdzie siedzi Szmindrik syn Geca i pasie dzikie koty! Złapcie tam sobie jakiego kota, złapcie pipernotera, [1]) złapcie ze świata wszystkie muchy, tarakany, świerszcze, pchły i pluskwy—i idźcie z niemi tańczyć. Tańczcie w pustych polach, w pustych lasach. Tańczcie, skaczcie, cieszcie się i zostawcie świat w spokoju." [2])

— Co tu się u nas wyrabia?—zapytałem mocno zdziwiony—co się tu dzieje?

— O! niech się już nie wróci co się tu wyrabiało—odrzekła matka. Przed kilkoma dniami mało nam duszy nie wyjąłeś twoją straszną mo-

---

[1]) Pipernoter—zwierz straszliwy, figurujący w różnych legendach żydowskich.

[2]) Tego zaklęcia prawie niepodobna przetłómaczyć dosłownie; przytaczam je więc w oryginale, pisząc tak jak się wymawia:

„Ich bin ajch maszbija beszejm luciperycieł. beszejm płutonieł, cerberieł, prozerpinieł, beszejm... beszejm... un beszejm... az ir zołt kajn szlito niszt hoben ojf isrulik ben cipe! cuzejet zich, cuszprejet zich in di wiste fełder, in di puste wełder, dort sztejet a sztajn, ojf dem sztajn noch a sztajn, dort sztejet a berg, ojf dem berg noch a berg, ejben zict szmindrik ben gec, un paset wiłde kec! Hapt wu ergic nor a koter, hapt wu ergic nor a pipernoter; hapt fun der wełt ałłe fligen, tarakanes, grilen, floj, wancen un geet mit zi tancen. Tanct in di puste wełder, in di wiste fełder, tanct, szpringt, kwełt, un łost cu ruh di wełt."

wą. Niech to nie będzie pomyślanem nawet, niech w tym domu pomyślanem nie będzie!

— Weźcie, złapcie wszystkie stworzenia, które kąsają: pijawki, szczury, pluskwy, prusaki—i postawcie je wszystkie na kartę za Srulika syna Cipy; wypędźcie je na pustynią, rozetrzyjcie na proszek!—krzyczał ów mężczyzna i zaczął dmuchać, jak gdyby chciał swem tchnieniem zrzucić jakiś niewidzialny przedmiot.

Potem zwrócił się do mojej matki i rzekł:

— Cipe! już ja użeram się z djabłami blisko trzydzieści lat... tak, tak, Cipe, dobrze rachuję: Wkrótce po pierwszem „behoło"[1]) (niech dziś nie będzie o tem pomyślane!) zostałem zaklinaczem, na parę lat przed wielkim pożarem, punkt akurat w tym czasie, w którym reb Tuwje Kałman) reb Gdalie Ites [2]) znalazł w mieście skarb, może na rok przedtem, jak wyczyszczono staw i mikwę. [3]) Tak, tak, Cipe, będzie to już ze trzydzieści lat, jeżeli nie więcej; przez ten czas dość naużerałem się z nimi! Dziś otrzymali oni odemnie dobrą karę; ale też była to praca! ciężkie rzemiosło!

---

[1]) Popłoch, epoka, w której jakieś nowe a wyjątkowe prawa dotykają żydów; „pierwszem behoło" nazywają czas, w którym dzieci żydowskie brano do kantonistów.

[2]) Reb Tobiasz Kałman, syn reb Gedali, męża Ity.

[3]) Miejsce kąpieli obrzędowej.

— Haa, hu!—rzekła stara baba, głośno ziewając i spluwając: hu ha... trascia ich materi!!

Nic a nic nie rozumiałem i byłem zdumiony tem co się ze mną dzieje. Prosiłem przeto matki, aby opowiedziała mi wszystko od początku do końca i dała mi poznać, na którym świecie jestem.

Matka obtarła zapłakane oczy i zaczęła w te słowa:

— Kiedy przed tygodniem, jeżeli sobie przypominasz, wyszedłeś w pole na przechadzkę i nie powracałeś do późnej nocy, wyszliśmy wszyscy za miasto i rozbiegliśmy się w różne strony, ażeby cię szukać. Długośmy szukali, szukali, aż nareszcie znaleźliśmy cię leżącego pod drzewem blisko rowu. Byłeś bardzo śpiący i jakby pomieszany. Nazajutrz z rana nie wziąłeś nic do ust, byłeś ciągle niespokojny, zamyślony i mówiłeś sam do siebie takie słowa, że się jedno drugiego wcale nie trzymało. Nie mogliśmy zrozumieć, co to ma znaczyć? Potem jednak (niech to na dzisiejszy dzień nie będzie pomyślanem! niech to o żadnym żydzie nie będzie pomyślanem!)—to się pokazało. Wyszedłszy na podwórko, zobaczyłeś naszego gałgana koguta (gałgancker hohn), który tylko co darł się i bił z drugim kogutem. „Wasze błahorodie—rzekłeś do niego, zdejmując czapkę—pan jesteś gwardzistą, nosisz ostrogi i piękne

pióra. Świat ma pana za ukształconego, za rozumnego bardzo, lecz (wybacz pan moją śmiałość) prowadzenie się pańskie nie jest bardzo pięknem. Od czasu jak mieszkasz u nas, słychać tylko krzyki i hałasy, ciągłe bitwy to z tym, to z owym, a wszystko o kobiety—o puste rzeczy! Czy mało romansów prowadzisz pan codzień — i jeszcze chcesz wydrzeć drugiemu jedyną towarzyszkę! Cóż naprzykład zawinił panu przed chwilą tamten biedak (szlimmazełnik)? Dlaczego wyzwałeś go pan na pojedynek i skaleczyłeś? Czy na to nosicie panowie ostrogi, żeby niemi jeden drugiemu oczy wydłubywał? I to jeszcze nazywa się według was sprawą honorową! Według prostych ludzi, to jest zwyczajne rozbójstwo! Miejże pan litość nareszcie nad swoją żoną. Ona kłopocze się i pilnuje pańskich dzieci—a pan nie chcesz się dotknąć do niczego, latasz po całych dniach za innemi i myślisz tylko o głupstwach! Pan gąsior, pan indyk podobają mi się daleko więcej; świat ma ich wprawdzie za głupców, za prostaków, ale oni prowadzą się bardzo porządnie, są dobrymi mężami i myślą o swych żonach i dzieciach, jak Bóg przykazał. W porównaniu z nimi, wasze błahorodie zdatny jesteś tylko na „kapores.” [1]) Odszedłszy od koguta, zbliżyłeś

[1]) Ofiara na odkupienie grzechów.

się do naszej krowy, stojącej wraz z cielęciem nad cebrem pożywienia. Ach! madam krowa— zawołałeś—jak się pani miewa? Co porabia szanowny jej małżonek—pan byk? Pani kostyum bardzo mi się podoba, jest on i modny i mocny. Ogon, który się wlecze za panią, jest według najnowszej mody. On bardzo pasuje damom... Bardzo ślicznie dalibóg, pani mąż pyszni się z tego (ma rogi)... [1]) śliczny podarek doprawdy! musi być z niego bardzo kontent. A czy zawsze jest taki zajęty, zatrudniony? Przecież trzeba czasem wyjść z żoną na spacer i porobić wizyty. Cóż kobieta ma robić? Zdaje się, pani krowo, że kobiety nie są stworzone do poważnych zajęć—do pracy, jak mężczyźni... Jak to dziwnie wygląda naprzykład, gdy dziewka powozi? Czy pani zabrałaś już znajomość z naszą holenderką?.. Ach bardzo piękna, bardzo tęga dama! Za granicą to zupełnie co innego...

Sądzę, że pan byk jest z nią w bliskich stosunkach. Skosztuj-no pani trochę konfitur—rzekłeś do niej, wskazując na ceber—skosztuj pani i poczęstuj swoją córeczkę. Niech się pani nie wstydzi, panno cielę! Bardzo to dobrze, pani krowo, że trzymasz ciągle córeczkę przy sobie; co

---

[1]) Dwuznacznik. „mieć rogi” znaczy pysznić się z czego, być dumnym.

bowiem przyjdzie z takich panienek, które matki oddają na wychowanie w obce ręce? To tylko oszukaństwo, dalibóg! Czy już stręczą panience jaką partyę? Nic nie szkodzi, nie wstydź się panienko, zwyczajna to rzecz. Cielątko jest dobre, przyzwoite, tak jak mama. Nie mówię tu, broń Boże, żadnych komplementów, ale najczystszą prawdę.

Akurat w tym czasie (mówiła dalej matka) zdarzyło się, że przyszedł do nas z wizytą pan Cempeł z żoną i córką. Ty wziąłeś (niech to dziś pomyślanem nie będzie) ceber z pomyjami, wniosłeś go do sali, postawiłeś przed gośćmi na podłodze i zachęcałeś ich do jedzenia w taki sposób, jak zachęca się krowy: „Czas już wielki—rzekłeś—wydoić te krowy i wypędzić je na pastwisko. Dokądże będą się tak włóczyły bez celu? Dalibóg! od niejakiego czasu gospodarstwo nasze prowadzone jest zupełnie bez sensu...” Możesz sobie wyobrazić, jak byliśmy wszyscy pomięszani i co się działo w mojem sercu! Wyprowadziłam cię natychmiast z pokoju, a sama, dla przyzwoitości, powróciłam do gości i siedziałam ma się rozumieć jak na szpilkach. Wkrótce słyszę jakieś krzyki, wybiegam, patrzę co się dzieje?—i... aż mi się ciemno w oczach zrobiło!! W stancyi stoi reb Icek Wolf, osoba (fajne berye) „gabaj” (starszy), w którego rękach jest każdy człowiek

w mieście i któremu wszyscy wierzą na słowo... Ty zaś stoisz naprzeciwko niego i krzyczysz (niech to dziś pomyślanem nie będzie) mniej więcej takiemi słowami: „Z przeproszeniem powiedziawszy, co się w naszym „kahale" [1]) wyrabia!? Aby tylko dostali kozła, „kahalnego capa", [2]) puszczają go zupełnie swobodnie i nikt go nie dogląda. Tymczasem cóż robi taki cap?.. Chodzi ciągle do bóżnicy, tam sobie obiera miejsce spo-

---

[1]) „Kohoł" dosłownie znaczy zgromadzenie, gmina.

[2]) „Kahalny cap," czyli kozioł miejski. W małych miasteczkach, w drobnych gospodarstwach żydowskich kozy odgrywają dość znaczną rolę. Nie wymagając kosztownego pożywienia, poprzestając na mizernych resztkach z wcale nielukullusowego stołu swych właścicieli—dają one mleko i koźlęta. Jedyny też to inwentarz, jaki biedny małomiasteczkowy żyd trzymać może. Do pewnego stopnia każdy żyd dba o swoją kozę, daje jej obierzyny z kartofli, różne odpadki kuchenne, pozwala obgryźć, a nawet zjeść starą miotłę — jednem słowem daje jej jakieś pożywienie. Inna rzecz z kozłem. Ten jest własnością i ogólną i niczyją; noce przepędza bądź na świeżem powietrzu, bądź też w przedsionku bóżnicznym— a żywi się swoim własnym przemysłem. Do takiego kozła Abramowicz przyrównywa wielkich mężów małomiasteczkowych, trzęsących sprawami gminy i wyzyskujących bez miłosierdzia ubogą ludność żydowską.

czynku, robi z przeproszeniem nieporządki, depcze resztki podartych książek, wskakuje do ogrodów z całem stadem kóz, wchodzi pocichu do domów i skoro tylko na chwilę oczy odwrócić, zaraz wsadzi pysk w niecką, w kobiałkę, lub szafarnię i robi szkody! Dlaczegóż, pytam, „kahał" nie weźmie takiego capa za brodę i nie zrobi tak, żeby więcej nie wskakiwał do ogrodów, nie chwytał z niecek?! Nie; tego nikt nie uczyni; każdy obawia się, każdy się lęka zaniepokoić capa! Gdy czasem zbierze się gromadka żydów i rozmawia o poważnych rzeczach, a ktoś z tej gromadki spostrzeże zbliżającego się capa, „kahalnego capa," wnet skóra zaczyna drżeć na wszystkich i gromadka ucieka, rozbiega się na wszystkie strony... Inni ludzie nie znają wcale takich capów, mogą więc myśleć że to tylko bajka, u nas żydów jednak „kahalne capy" [1]) to rzecz bardzo zwyczajna.

— Cipe!—zawołał zaklinacz („baał szejm")— to nie on! dalibóg to nie on tak mówił!... To były ich słowa, to z nich wyrosło... ze złych duchów wyrosło!...

— Prawda—odezwała się stara chrześcianka,

---

[1]) Jestto dwuznacznik do przetłómaczenia niepodobny. „Capen" w żargonie znaczy „łapać," „chwytać"; ztąd też i wyraz *cap* ma znaczenie podwójne.

która rozumiała trochę po żydowsku—eto ichnie dieło, trascia ich materi!

Wszyscy splunęli trzykrotnie, matka zaś obtarła oczy i opowiadała dalej:

Owego dnia (niech to dziś pomyślanem nie będzie) narobiłeś tyle awantur, że nie mogę nawet opowiedzieć wszystkiego. Mnóstwo pięknych, czystych (koszere) osób zrobiłeś bydlętami, zwierzętami dzikiemi, nikt się od ciebie nie wykpił!... Ciągle wspominałeś o jakiejś szkapie; ciągle tylko mówiłeś, że ją rwą, męczą, szarpią. Och! ta twoja mowa! Panie świata! niech ona się w dym obróci, niech idzie z wiatrem na dzikie pola, na puste lasy! W mieście zaczęto mówić, że ci się całkiem w głowie przewróciło, że zwaryowałeś. Posłałam zaraz po znachorkę i... (nieprzyrównywając) po „baałszejma" (zaklinacza), położyliśmy cię do łóżka i używaliśmy wszelkich środków ratunku, aż oto Bóg dopomógł nam że zasnąłeś i teraz (niech Mu będą dzięki i chwała) obudziłeś się zdrów.

W tej chwili weszła Brajndla „di zogerin" [1])

---

[1]) Die zogerin. Kobiety żydowskie w ogóle nie mają wysokiego wykształcenia religijnego i nie są wcale biegłe w języku hebrajskim. Cała ich umiejętność zasadza się na czytaniu kilku najniezbędniejszych modlitewników i książek przetłóma-

którą matka moja posyłała na „święte miejsce" (cmentarz), aby płakała na grobach i „mierzyła pole." [1]) Dotknęła trzykrotnie ręką „mzuze," [2])

---

czonych na żargon (Tchinejs, Ceene Orene, etc.). W małych miasteczkach, w oddziale żeńskim synagogi jest oficyalna lektorka (właśnie owa „Zogerin)" i ta odczytuje modlitwy głośno, inne powtarzają za nią.

[1]) „Mierzyć pole" Należy objaśnić to niezrozumiałe dla czytelników chrześcian wyrażenie. U żydów zachowaną jest wielka cześć dla umarłych. Cmentarz nazywają oni „domem wiecznym," „miejscem świętem"; wierzą w to, że zasługi przodków już umarłych mogą wyjednać łaskę Bożą dla żyjących. W czasie wielkich klęsk, epidemij etc., wynajdują parę biedaków i dają im ślub na cmentarzu, w przekonaniu, że fakt taki nieszczęście odwróci. Otóż wśród mnóstwa przesądów, z cmentarzem związek mających, istnieje jeden taki, że jeżeli kto jest chory, to należy pójść na miejsce wiecznego spoczynku, modlić się na grobach, a następnie długą nitką mierzyć ziemię cmentarną. Z użytej na ten cel nici robi się knot, takowy oblewa woskiem i przy otrzymanej w taki sposób świeczce, odmawia się modlitwy na intencyę chorego.

[2]) U konserwatywnych żydów na futrynach drzwi i okien, w spłaszczonych rurkach blaszanych, przybite są, pisane na pargaminie błogosławieństwa. Nabożny żyd wchodząc do domu, przykłada palce do „mzuze" i następnie te palce całuje.

i przybiegła do matki zapłakana, łkająca („far-chlipet") z temi słowy:

— Prosiłam babkę Jentę, ciotkę Zełdę (oby miały jasny raj!) to były sprawiedliwe żydówki! Prosiłam ojca, dziadka reb Szmelka i całą familię; prosiłam także starą rabinową, zacną, sprawiedliwą kobietę—ich zasługi powinny się przyczynić za nami!! Ten, który wiecznie żyje, usłyszy ich modlitwy. Srulik (gdy będzie wola Boga) wyzdrowieje. Trzebaby tylko spróbować wytaczać go raz jeszcze na jajkach [1]) i oblać woskiem... To mu się przytrafiło z przestrachu; przed rokiem stało się zupełnie tak samo synowi „mełameda" [2]) z Brodów. Krejna wytaczała go dobrze na jajkach i zaraz jakby ręką kto odjął. Jakżeż on się ma teraz, Cipe?

— Nieszkodzi — odezwał się zaklinacz—już ja ich wypędziłem!! To była ich robota, Brajndlo, ich rzemiosło! Możesz zapytać się starej, ona rozumie każde słowo, my już mieliśmy w naszem życiu dość interesów z temi djabłami...

— Prawda, prawda, Brajndlo—rzekła stara

---

[1]) Jajko od kury, według mniemania zabobonnych żydów, ma mieć własności lecznicze. Szczególniej od cierpień spowodowanych przez przestrach ma być ono niezawodnym środkiem.

[2]) Mełamed—nauczyciel.

kiwając głową—szczo prawda to prawda, eto ichnie dieło, trascia ich materi!

— Dalibóg nie wiem wcale—odezwała się do mnie matka—zkąd przyszły do ciebie takie rzeczy, takie dzikie marzenia i pusta mowa? Sądzę, że to musi pochodzić z tych książek, które zgłębiałeś tak bardzo. Nieraz przecie mówiłam do ciebie: Srulik, na „kapores” ten cały egzamin!— nie zagważdżaj sobie głowy temi głupiemi książkami, temi waryackiemi bajkami! Czyż to żarty przez tak długi czas powtarzać na cały głos takie dziwne bajki?! Naprzykład o jakimś „słowiku-rozbójniku,” o sławnych rycerzach, którzy wypijali bywało „cały Jordan wódki” i wyrywali z korzeniami wielkie drzewa dębowe tak łatwo jak włosy; o jakimś czarowniku Kościeju, o babie Jadze, o tych, którzy przewracali świat i których konie mówiły jak ludzie; o prababce, co swego prawnuka obróciła w kozła—i jeszcze tym podobne bajdy, co to ni przypiął, ni przyłatał... Jaki, proszę cię, może być pożytek z uczenia się tak pustych rzeczy?...

— Czekaj kochana mamo—rzekłem—a czy w naszych książkach niema podobnych bajek? Czyż mało opowiadałaś mi sama i czy mało słyszałem takich opowiadań od innych? Ileż to mamy powiastek o wilkołakach! giłgułach! Ileż to już kur pieczonych zapiało u nas, u żydów,

leżąc przed nami na talerzach. Ileż cieląt, krów, wołów, koni, osłów, rozpłakało się nagle i prosiło o ratunek, o poprawienie losu ich dusz?.. Ile takich dusz wybawili zaklinacze i doprowadzili do grobu Izraela? „Mi mono afar Jakow?" (kto policzył piasek Jakóba).

— Co to za słowa? — zawołała moja matka z przerażeniem, sądząc, że znowuż mówię od rzeczy—co to jest takiego „mi mono"?

— Nie szkodzi, Cipe — wtrąciła Brajndla z uśmiechem zadowolenia, szczęśliwa, że może się teraz popisać ze swoją uczonością. Nie szkodzi; to znaczy: kto może przerachować „afar" ziemi, to się nazywa groby; Jakob... które zrobili u Jakóba, ma się rozumieć żydzi, którzy nazywają się Jakób... [1])

---

[1]) Jest w tem tłómaczeniu komizm do oddania trudny. Polega on na przekładaniu hebrajszczyzny przez osobę, która hebrajskiego języka nie rozumie. Abramowicz i inni pisarze żargonowi używają często takich efektów. Opisują oni naprzykład, jak mełamedzi w szkółkach tłómaczą dzieciom znaczenie niektórych wyrazów hebrajskich, na określenie których żargon nie posiada odpowiednich terminów. Tłómaczę więc tak np:—„Midbor" (po hebrajsku puszcza) „midbor dos is a sołche „midbor"; „korban" (po hebr. ofiara). „Korban" dos is a sołche „korban." Tak samo i Brajndla, lektorka bóżniczna, a więc mająca pretensyę do uczoności, którą każdy żyd

— To zaś co on powiada o „giłgułach" — wtrącił do rozmowy zaklinacz—to klnę się na moją brodę i pejsy, że mnie samemu zdarzyło się już w mem życiu wypędzać mnóstwo giłgułów. Sam ich słyszałem krzyczących..., żebym tak doczekał usłyszyć trąbę Messyasza!.. [1])

— Ha! ha! czy to żarty „giłguł"? czy to bagatela „giłguł!"?—rzekła Brajndla, robiąc nabożną minę. To przecież stoi w książkach... to rzecz bardzo zwyczajna! Cały świat przepełniony jest nimi. Sza! Błogosławiony niech będzie Ten, który przypomina zapomniane!—a czy u nas, trzy lata temu, nie trafiło się zdarzenie z czarnym kotem? To było jakoś w trzy lata po mojem weselu z drugim mężem (pokój jego prochowi!)—akurat wtedy, kiedy spodziewałam się małego Chaskiela (niech on żyje zdrów!); nawet przypominam sobie, że ogłaszano wtedy w szkole, żeby kobiety mężatki nie patrzyły na to...

— Słyszysz kochana mamo—rzekłem — słyszysz co mówi zaklinacz i Brajndla?

---

najbardziej lubi się szczycić, tłómaczy znany frazes „mi mono afar Jakow" w sposób przedstawiony powyżej.

[1]) „Szejfer szeł Mesya." Mniemają żydzi, że Messyasz przyjdzie na świat przy odgłosie trąby. Usłyszyć jej dźwięk jest szczytem marzeń prawowiernego żyda.

— Et, dalibóg, mój Sruliku—rzekła matka nieśmiało; nasze bajki (nieprzymierzając) to zupełnie co innego.. Et... et.. Srulik, dokądżeś zawędrował? Jak można robić podobne porównania?! Tamto jest w nieczystości—a nasze w świętości (nieprzymierzając).

— Prawda! Jak noszę brodę i pejsy, tak prawda!—przybasował matce zaklinacz. Doskonała odpowiedź, Cipe, doskonała! Dalibóg tak prawda, na moje sumienie!

— Nu, a szczo wy każetie?—zapytałem starej baby, widząc że żadne dysputy do niczego nie doprowadzą i że znów mogę zostać ogłoszonym za waryata.

— Win maje prawo—odrzekła kiwając głową—eto ichnie dieło; trascia ich materi!

V.

Znowuż ją spotyka.

Przeszedł jakiś czas i wszystko co się ze mną działo w owe dni fatalne, zaczęło się potrosze pokrywać mrokiem zapomnienia.

Osobom, które lubią zajmować się cudzemi sprawami, dał Bóg co innego do gadania—i zamiast mnie, mieli tysiąc innych osób na ustach. Nasze miasto (byle nie urzec) jest duże; codzień więc wyskoczy coś nowego; jest Bogu dzięki o czem gadać—jest czem się zajmować! Aby tylko zdrowie służyło—cudzych interesów nie zbraknie; wystarczy, jak mi się zdaje, dla całego świata próżniaków!.. Wziąłem się znowuż gorąco do nauki, pracowałem, kułem, uczyłem się, dopóki nie nadszedł czas egzaminów.

Pewnego pięknego poranku, na wiosnę, zajechała po mnie buda, w której miałem się udać do Dnieprowiec, aby tam złożyć egzamin. Matka moja była bardzo smutna i zakłopotana, oczy

miała pełne łez, ciągle płakała i patrzyła na mnie, patrzyła i znowuż płakała...

— Nie płacz mamo—prosiłem—choć mi się samemu na płacz zbierało i strasznie ciężko było na sercu. Nie płacz mamo! Przecież nie odjeżdżam Bóg wie dokąd! Muszę nareszcie zakończyć ten taniec, który kosztował mnie tyle wysiłków i pracy. Bóg dopomoże... Spełnią się moje życzenia..., będę pracował na kawałek chleba zaszczytnie, będę równy ludziom—i ty matko, będziesz się radowała ze mnie. Nie płacz, nie płacz matko, proszę cię!

— Ach, Srulik!—odrzekła—łatwo tobie tak mówić, lecz gdy się macierzyńskie serce rozpłacze, to go nie można uspokoić..., bo ono nie płacze napróżno, bez przyczyny... Są w niem przeczucia, są obawy, których nikt rozumem zbadać nie potrafi. Ja też cię proszę, Sruliku, jeżeli to jest możebnem, żebyś nie odjeżdżał—po co w takich młodych latach będziesz się męczył? Któż wie, czy trud twój i praca wyjdzie ci na dobre? Iluż to wykształconych ludzi, z pomiędzy nas żydów, chodzi bez butów, niestety!

Iluż to ludzi uczonych przepadło i zmarnowało sobie całe życie?! Srulik! błagam cię, pozostań w domu! Stręczą dla ciebie teraz doskonałą partyę. Uraduj serce matki twej i—ożeń się!

Bałaguła (furman) wszedł tymczasem do stan-

cyi, zabrał rzeczy i położył koniec mojej rozmowie z matką. Płacząc ucałowaliśmy się i pożegnali — poczem usadowiłem się w budzie i odjechałem.

Śmiejcie się panowie wolnomyślni dzisiejsi, śmiejcie się z czego chcecie, lecz nie żartujcie, proszę was, z tego, że serce matki nigdy napróżno nie płacze!! Dopóki milczycie i nie możecie odpowiedzieć na pytanie czem jest życie? w jaki sposób tworzą się w naszym mózgu wszystkie myśli, rozstrząsania i uczucia?; w jaki sposób przędą się i tkają w nas cudowne sny z owych nici—dokąd milczycie powtarzam, i nie umiecie pojmować tych rzeczy — nie pozwolę wam wyśmiewać się z tego, że serce człowieka przeczuwa i odgaduje. Nie wolno wam, nie macie prawa szydzić z tego, że serce matki nie płakało napróżno! Egzamin zupełnie mi się nie powiódł. Nie szkodzi jednak wiedzieć w jaki sposób to się stało. W dniu, w którym miałem do egzaminu przystąpić, byłem pełen otuchy i nawet dla kurażu wypiłem kieliszek wódki — aczkolwiek trunków nigdy nie używam. Nie szkodzi, pomyślałem sobie, Bóg dopomoże!! Czegóż się mam tak dalece lękać i obawiać? Wszak będę miał do czynienia z uczonymi, szlachetnymi ludźmi, którzy też prawdopodobnie traktować mnie będą delikatnie, łagodnie, jak na mężów uczonych przystoi--i dodadzą mi mocy i odwagi.

Niestety! wszedłszy do sali odrazu spuściłem nos na kwintę... Jacyś panowie, ubrani w surduty z mosiężnemi guzikami („mit meszene knep") siedzieli przy stole i patrzyli na mnie tak gniewnie, tak srogo, jak gdybym zabił kogo, okradł, albo zamordował. Spoglądali na mnie tak jak „stanowoj" z dawnych czasów, który na pierwsze pozdrowienie („boruch abo") zwykł był mówić: „Jskudowo!.. ja tebie! pasport majesz?!

I pytam teraz na co mężowie, których zadaniem jest urabiać nas i nasze dzieci na ludzi z rozumem i uczuciem — mężowie, od których należy wymagać, żeby byli dobrzy, prości i dla każdego przystępni; którzy powinni zaszczepiać w sercach dobre i szlachetne przymioty — na co pytam, ci mężowie noszą mosiężne guziki i patrzą srogo jak „kwartalni!"

Mówcie co chcecie — ale trudno wyobrazić sobie Sokratesa, Platona, Arystotelesa i tym podobnych mędrców — z żółtemi guzikami, kwaśną miną i fizyognomią ponurą („a finctere cureis").

Łatwo zrozumieć, że zaraz po pierwszem przywitaniu straciłem zupełnie odwagę -- i sam nie wiedziałem co się ze mną dzieje? Głowa moja była jak zabita... Wkrótce zbliżył się do mnie jakiś pan z taką miną jak gdyby chciał rzec: — Patrz! ja mam wielką głowę! otwarty mózg! Ja się ciebie pytam! ja! rozumiesz co to znaczy? Ja

się pytam, znaj uszanowanie, marny robaku!! Z taką miną zbliżył się do mnie i zarzucił mnie pytaniami, to ztąd to zowąd. Pytał o jakieś bajki, powiastki... zdaje się, że akurat o babę — Jagę... Mnie zaplątało, zakręciło się w głowie, zacząłem się mieszać, pleść nie wiem co... Panowie zrobili mi ten honor, że spojrzeli na mnie, uśmiechając się po przyjacielsku i wesoło—no—i na tem był koniec memu egzaminowi, mej ciężkiej pracy;... koniec i kres ostateczny wszelkim moim nadziejom!!!

Ze zmartwienia i żalu nie mogłem dosiedzieć w stancyi... zacząłem się błąkać po mieście — przemierzyłem wszystkie ulice i bardzo piękne góry. Tyle tylko widziano mnie na kwaterze, gdy przyszedłem jeść albo spać.

Razu pewnego przechodząc przez ulicę, zauważyłem, że jacyś ludzie prowadzą chudego konia, popędzają go i biją, na oślep, gdzie który trafi. Stosownie do mego obowiązku, jako członek towarzystwa opieki nad zwierzętami, pobiegłem w tamtą stronę i prosiłem o litość nad biednem stworzeniem. Gdy jednak zbliżyłem się i spojrzałem na owego konia, zimny pot wystąpił mi na czoło, sądziłem że wszystkie członki we mnie zdrętwiały. Poznałem, że to jest ona!.. ona z kościami! ona, moja stara, wychudzona, nieszczęśliwa szkapa!!

— Dlaczego bijecie tę nieszczęsną?—spytałem otaczających ją ludzi.

— Dlaczego?—spytali mnie nawzajem—a dlaczego ona włóczy się tutaj?—rzekli, oglądając mnie od stóp do głów. My prowadzimy ją do kancelaryi...

— No, ale dlaczego ją bijecie?..

— Hm... jakto dlaczego? Jakążby to miało minę prowadzenie do kancelaryi bez szturchańców? to tak jak wesele bez muzyki! Tak, tak.. ze szturchańcem to idzie jakoś lepiej, żwawiej!

— Ależ jest przecież towarzystwo opieki nad zwierzętami! wreszcie litość...

— Litość! ha! ha! ha!—zawołali ze śmiechem.. litość dla takiej parszywej szkapy?!

— Czyż ją nie boli? Czy ona nie jest żyjącem stworzeniem? Wreszcie, powiedzcie mi, za co ją ciągniecie do kancelaryi?!

— Nie powinna tu chodzić! Nie wolno jej zanieczyszczać miasta utrzymywanego tak pięknie. Jest takie prawo i basta!

— A jednak insze konie chodzą tu po ulicach? wszelkie inne bydlęta także chodzą... Oto, naprzykład niedaleko stąd, rozłożył się obozem tabor cyganów, z wozami i z końmi, całkiem swobodnie; a jeszcze trochę dalej możecie znaleść obozowisko pijanych czumaków!..

— To zupełnie co innego. Zresztą nie nasza

rzecz sądzić o tem. W końcu co cię to obchodzi? Czy ta szkapa jest twoja?

Chciałem zaraz odpowiedzieć: tak! tak! ona jest moja, ta biedna szkapa jest moja!—ale właśnie spojrzałem na nią w tej chwili i oburzyłem się—że stoi tak spokojnie, obojętnie, jak gdyby ją ta rozmowa nic nie obchodziła, jak gdyby mówiono o ścianie. Patrzyła tak apatycznie, jak gdyby chciała powiedzieć:—Mówcie sobie co wam się podoba, mnie to nic a nic nie obchodzi! Nic a nic, bylem mogła tylko złapać cokolwiek, byle napchać kiszkę! Ze złości chciałem już powiedzieć: Nie! ona nie jest moja! nie mam z nią nic wspólnego! Chciałem plunąć i odejść... Nie zrobiłem tego jednak, lecz rzekłem:—Zapewne, że moja!.. Zresztą o czem tu długo mówić? Porozumiałem się z owymi ludźmi, dałem im co chcieli i uwolniłem szkapę z ich rąk, pod warunkiem, że wyprowadzę ją zaraz z miasta; przyczem powiedziano mi, że jeżeli raz jeszcze pokaże się tu ona i wpadnie w ich ręce, to mogę być pewnym, że mnie ten interes... będzie znacznie drożej kosztował.

Postawcie się w mojem położeniu! [1]) Po dro-

---

[1] Autor przedstawia tu w sposób alegoryczny, jak zacofani żydzi opierają się wszelkim postępowym dążeniom; jakie trudności napotyka człowiek, który pragnie przebudzić z odrętwienia owe masy i skierować je na nowe drogi.

dze, miejscami pełnej kamieni i cierni—idę nieszczęsny, piechotą, ze szkapą. Męczę się, idę ciągle naprzód, a ona ledwie się wlecze, zaledwie nogi podnosi, a od czasu do czasu potyka się, staje, i choć ją rąb w kawałki, nie chce ruszyć się z miejsca; albo też schodzi z drogi i chce wpakować się w błoto! Co robić z nią? Jaką radę dać sobie? Biorę ją za czuprynę i ciągnę gwałtem za sobą, lecz męczę się jeszcze bardziej i pot mi oczy zalewa. Boli mnie serce popędzać ją dalej, żal mi, przypuszczam że cierpi, że jest bardzo zmęczona. Źle, bardzo źle... Staję więc i zaczynam jej robić wymówki.

— Fe! dalibóg! fe!—powiadam do niej—wcale nie przypuszczałem, żebyś mi wyrządziła tyle przykrości, tyle cierpień za moją przyjaźń, za moją dobroć! Ja kłócę się za ciebie, dysputuję, ujadam się z przeciwnikami twoimi—gdzie mogę, rzucam dobre słowo za tobą, proszę żeby cię nie krzywdzono... Dla miłości twojej wlokę się piechotą, jak żebrak, odrzuciwszy honor na stronę, tracę dla ciebie zdrowie i męczę się—a ty? Pragnę się dobić tego, żeby ci było lepiej, żebyś odpoczęła cokolwiek, odetchnęła swobodniej - a ty przewracasz we mnie wątrobę, burzysz żółć, jak najgorszemu wrogowi! Naodwrót—powiedz sama czy to sprawiedliwie? czy to pięknie jest? Ja obmyślam w duszy różne plany, różne kombinacye,

a wszystko dla ciebie—wyłącznie tylko dla ciebie—ty zaś zabijasz we mnie wszystkie siły twojem teraźniejszem postępowaniem. Ja mówię ci: idź naprzód—ty się wleczesz z tyłu; ja krzyczę: idź drogą! — ty pakujesz się w błoto! Ja tak i tak... ty wszystko na wspak, na przekór! Powiedzże sama, czy to sprawiedliwie tak,--czy to pięknie jest?! Wiem ja bardzo dobrze, że gdybym cię okiełznał, wsiadł na ciebie i uderzył— to napewno poszłabyś tam właśnie, gdziebym cię chciał pokierować. Przed tym, kto jeździ na tobie znasz uszanowanie, drżysz na każde jego skinienie i czujesz się bardzo szczęśliwą, gdy możesz go zadowolnić... A przecież on może zdjąć z ciebie skórę, oskubać sierć... Moje serce wszakże nie pozwala mi jeździć na tobie. Niech mi język przyrośnie do podniebienia, jeżeli ci powiem: nieś mnie!—jeżeli cię uderzę, biedna szkapo, to niech mi prawa ręka uschnie!! Pomyśl-no tylko dobrze, pomyśl że to co robisz, jest brzydkie, że nie pięknie postępujesz ze mną, twoim wiernym przyjacielem, który ci życzy lepszej doli niż teraźniejsza, który pragnie widzieć cię szczęśliwą i rozradować tem duszę swoją! Pomyśl-no, pomyśl, że zatruwasz mi życie goryczą! Fe! fe! dalibóg nie zasłużyłem na to!

Tak przemawiałem do szkapy, z ogniem, dysputowałem, mówiłem jej kazanie z całego serca,

płakałem z bólu prawie jak dziecko, a ona tymczasem obojętnie stała i gryzła trawę przy drodze rosnącą...

— Co robić z nią? co począć? Dysputy nie prowadzą do celu, kazania także nie pomagają. Nic z nią nie można poradzić, ani złym, ani dobrym sposobem!

Porzucić ją na drodze nie pozwala mi serce, czuję dla niej litość, a szczególna jakaś sympatya ciągnie mnie do niej jak magnes. Biorę ją więc znowu za czuprynę i ciągnę dalej, z ufnością w Bogu, tak daleko jak mogę...

Proszę Boga, aby przynajmniej obcy ludzie nie przejeżdżali—aby nie śmiali się ze mnie i z mojej szkapy. Niech inni przynajmniej nie wiedzą co się dzieje pomiędzy nami—niech to zostanie w tajemnicy. Cicho! sza!

Niestety, modlitwa moja nie została wysłuchaną; na nieszczęście nadjeżdżali ludzie ze wszech stron, i żydzi i obcy. Każdy wytykał nas palcami, dowcipkował i śmiał się...

— Ha!—wołał jeden—gdzie to pan znalazłeś taką żwawą szkapę?!

— Hej! hej!—krzyczał drugi—cóż cię trzyma, młodzieńcze, przy tej nieszczęsnej? Idź lepiej swoją drogą – a tę szkapę puść wolno! Napróżno sobie głowę zawracasz, gdyż nic a nic z nią nie

poradzisz. Czyż nie wiesz, że ją już czuć zdaleka cmentarnemi liśćmi—że przeżyła swój czas?

A jeszcze inny z przejeżdżających odezwał się w te słowa:

— Oto siadaj na nią wierzchem i bij aż kości trzeszczeć będą! Nie szkodzi! wnet ona zacznie nogi podnosić i popędzi szybko!..

— A najlepiej — rzekł znowuż ktoś — weź szkapę sam na plecy i nieś...

Jednemu Bogu tylko wiadomo, co się działo w mem sercu, gdym musiał słuchać tych uwag. Tymczasem noc zapadła.

Niebo pokryło się czarnemi chmurami, od czasu do czasu błysnęło się, a szkapa wyrabiała ciągle swoje poprzednie sztuki...

Przynaglałem—chciałem ją zaciągnąć gdzie na nocleg... wydobywałem z siebie wszystkie siły... ale posłuchajcie-no historyi!.. Kiedym ją pociągnął trochę mocniej—ona stanęła dęba i zaczęła wierzgać! Ho! ho!—pomyślałem sobie—takaś to ty?! wierzgasz? chcesz mnie uderzyć?! a więc dobranoc ci!.. śpijże sobie sama gdzie chcesz! Pójdę stąd, pozbędę się wszystkich cierpień, oszczędzę sobie wstydu i nie będę wystawiony na pośmiewisko wraz z tobą! Wkrótce jednak myśl moja inny wzięła obrót: He! he! ty wierzgasz, gniewasz się, chcesz mnie bić?—to bardzo dobrze! Prawdopodobnie zaczynasz już czuć, wzruszasz się, a sko-

ro tak, to może (jeżeli Bóg pozwoli) przyjdziesz do rozumu i staniesz się zupełnie czem innem!... Z wielką czułością poklepałem, pogłaskałem moją szkapę i ona powoli, powoli, powlokła się za mną do wielkiego, gęstego lasu. Tutaj mieliśmy zanocować.

VI.

Szkapa, jako komentarz do księgi Hioba. [1])

Pod wysokiem, wielkiem drzewem rzuciliśmy się oboje na ziemię, bardzo zmęczeni i osłabieni po tak gorzkiej podróży (niech to na was pomyślane nie będzie). Zaczęły się błyskawice, jak gdyby niebo rozdzieliło się na dwoje i pragnęło oblać ogniem świat cały.

Wkrótce potem rozległ się przerażający grzmot i roztoczył się tu i tam strasznemi głosami, jak gdyby wystrzał z tysiąca armat. Zerwał się wiatr gwałtowny i zaczął dziwacznie płakać, jęczyć, wyć, jak głodny wilk. Uśpiony las obudził się w przerażeniu, ocknęła się każda trawka, każda gałązka, każdy listek; wszystkie szemrały, szumiały, skarżyły się rozmaitemi głosami i pomięszanemi językami. Sroki, wrony i sowy w całych stadach zaczęły się ruszać, zrywać z miejsc, krzyczyć; każda oddzielnie jęczała, opo-

---

[1]) Żydzi wymawiają „iejw.”

wiadała drugiej coś płaczliwego, dopóki deszcz ulewny odrazu im wszystkim gęby nie zamknął.

Straszna jest taka noc w lecie! straszna—straszna!

— Jesteś?—odezwała się szkapa, gdy już niebo zaczęło się trochę wyjaśniać—czy jesteś tu, mój stary znajomy,—powtórzyła jęknąwszy i kiwała przytem łbem, niby pragnąc zrzucić z siebie całą górę ciężaru.

— Jestem, jestem, mój prześladowany książę, moja biedna, nieszczęśliwa szkapo!—odrzekłem i rozpłakałem się.

— Czemu płaczesz? — zapytała mnie przyjaźnie, z takim wyrazem oczu, jak człowiek. Musiałeś za mnie wiele cierpieć?

— Ah!..—odrzekłem—moje cierpienia nic nie znaczą, wyrządziłaś mi je bezwiednie. Ty jesteś niewinną; twoje cierpienia są bezbrzeżne, wielkie jak ocean, ja płaczę patrząc na ciebie, mój ty upadły, tułający się książę! Ah! dokąd będziesz tak szedł, tułał się i cierpiał od wszystkich? Dokąd będziesz taką wywłoką, szkapą całego świata?

— Dokąd? dotąd — odpowiedziała, aż ludzie będą lepsi i rozumniejsi, dotąd aż ustanie tyrań每stwo i litość, i złe i dobre; tylko prawda i sprawiedliwość jedynie królować będą na świecie; dotąd, aż ustaną wszelkie różnice pomiędzy ludźmi: wilk mieszkać będzie z jagnięciem, niedźwiedź

z krową, a na jednem pastwisku lew będzie jadł trawę z wołem; dotąd aż ustanie wszystko złe, wszystko co niedobre utraci swoją siłę, i z każdej twarzy otartą będzie łza!

— Ah!—jęknąłem—jak to jeszcze długo oczekiwać na to, i lękam się, aby nim ten czas nastąpi, nie zamęczono cię doszczętnie, nie wypędzono duszy z ciebie.

— Ze mną—odpowiedziała—ze mną dzieje się akurat to samo, co z moim starym towarzyszem, Hiobem. Kiedy oddany miał być szatanowi w ręce, Bóg rzekł do złego ducha te słowa: Szatanie! czyń z moim Hiobem, co ci się tylko podoba, bij go, zadawaj mu najwymyślniejsze cierpienia, upstrzyj mu ranami ciało, lecz jego *ducha* nie waż się tykać!".

— Hiob—zawołałem—ma być twym towarzyszem?! Nie, ty sama jesteś Hiobem, z jego szatanem i plagami! Miałaś niegdyś szczęśliwe życie, we czci i bogactwie, doznawałaś później cierpień i prześladowań, znosiłaś szyderstwa świata w twojem wielkiem nieszczęściu. W każdym szczególe pokazuje się, że ty jesteś Hiobem, z jego szatanem, z jego cierpieniami, fałszywymi przyjaciółmi, ktorzy opuścili go w złej doli i oskarżali, że nie dobry i nie nabożny... Hiobową jest twoja historya, twoje dzieje!.. Początek księgi Hioba i środek akuratnie są twoją historyą i koniec jej spełni się

na tobie. Burza, w której ukaże się Bóg i sprawiedliwość, będzie, jak sądzę, większą i mocniejszą od tej, co ustała niedawno.

— Mówią—odezwała się szkapa—że tę księgę (Hioba) napisał ów mąż sławny, który już raz przemienił mnie ze szkapy w człowieka. Ten widział bardzo daleko... [1])

— Opowiedz-no mi—prosiłem szkapy—gdzie obracałaś się przez cały czas, od chwili w której zniknęłaś mi z oczów? Kto była owa osoba, co wskoczyła na twój grzbiet i odjechała? Skąd ona wzięła się tam?

— Ów, kto wsiadł na mnie wtedy—odpowiedziała szkapa—byłto djablik (łec). Od czasu jak niemcy dali mi trochę pokój, wyrastają skądciś djabliki, jak z pod ziemi; wskakują na mój grzbiet i pędzą mnie przez góry, doliny, lasy, pola... Aby tylko jeden zrobił początek, zjawia się mnóstwo djablików różnych postaci i różnych stanów (farszidene sosłowjes), zaczyna się śmiech, szyderstwo aż do niebios, każdy wypowiada swoje zdanie, swoje pro i contra, ni przypiął ni przyłatał (niszt gesztejgen, niszt geflejgen). Każdy poka-

---

[1]) Według talmudu, Hiob nigdy nie istniał, autorstwo zaś księgi Hioba przypisują Mojżeszowi i twierdzą, że ten przepowiedział w niej przyszłość żydów w ogóle.

zuje figę, wysuwa język, wszyscy, od małego do wielkiego, siadają na mnie i zajmują się mną. Jeden powiada, że trzeba ze mną próbować tak, drugi utrzymuje że inaczej; ten twierdzi, że ja powinnam latać w powietrzu, ów życzy sobie, żebym się znajdowała pod ziemią... Robi się larum, krzyk, zamieszanie; aż głowa boli, tak się ze mną bawią, tak krzyczą, a tymczasem odwieczna kwestya pozostaje wcale nierozwiązana. W mętnej wodzie—powiada przysłowie—dobrze jest ryby łowić; to się także i do mnie stosuje. Wpośród złego szumu zawsze ktoś mnie złapie i jedzie na mnie w świat, robi na mnie geszefta i przedaje mnie rozmaitym ludziom. Powiadam, rozmaitym, albowiem w krótkim czasie służyłam u bardzo wielu gospodarzy. Zaledwie zdążyłam przybyć do jednego, już wpada djabeł i ciągnie mnie gdzieindziej. U kogóż już ja dotąd nie byłam? kto ze mnie nie korzystał?

Począwszy od małego szlachcica (a poriceł), sołtysa, „kwartalnego" i dalej i wyżej; począwszy od „magida" (kaznodziei), nabożnisia etc., aż do starszych w kahale i tym podobnych dygnitarzy; od stróża, „smotrytiela," aż do dyrektora szkoły żydowskiej; od „szamesza" (służący z synagogi), pisarza kahalnego, doradcy, aż do gospodarza taksy i tym podobnych dostojników; od belfera, mełameda, swata, błazna weselnego,

tysiącznych gabajów, „jedwabnych ludzi,” ojcowskich dzieci, trębaczy szejferu, [1]) wyrabiających drejdeł, [2]) maceredlerów, [3]) aż do dajonów (sędzia), rzezaków i innych podobnych, wszyscy, wszyscy po kolei, siadali na mnie; dla każdego musiałam pracować, każdego na grzbiecie nosić! Kosztują oni mnie dosyć zdrowia i życia. Niechby choć praca moja zadawalniała ich. Broń Boże!—choćbym jak najwięcej robiła, wszystko za mało!.. wszystko za skąpo! A czyż to żarty taka gromada, wielka i zgłodniała! I niechby chociaż z tych moich trudów był jaki pożytek? Broń Boże!! Ja pracuję, męczę się, dla czego? Dla kogo, za pozwoleniem, dla kogo? Za sprawą szatana (jak na złość) zawsze dostaję się do rąk takim ludziom! Oni wysysają ze mnie krew serdeczną, zabijają mi głowę i mózg—i wyżymają mnie jak mokrą ścierkę. Wiem ja o nich bardzo wiele rzeczy i mogłabym dużo... dużo powiedzieć... Nie wszystko jednak co się wie powiedzieć można; nie każde pytanie zadawać wypada—i nie na każde można odpowiedź otrzymać. Co robić? trzeba się zadowolnić jedną

---

[1]) „Szejfer” trąba, w którą dmą żydzi przed świętami namiotów.

[2]) Fryga, którą bawią się małe dzieci.

[3]) Ci, którzy wyciskają desenie na macach.

odpowiedzią na wszystkie pytania, jedną odpowiedzią: „ewodim hoinu łfaro bmicroim,” [4]) co znaczy „szkapą nas uczynił król egipski.”

— Jedno pytanie wszakże chciałbym ci zadać—rzekłem do niej,—jak się to dzieje, że i owi „puryce,” których wymieniłaś w swym regestrze przed chwilą, chcą także brać w ręce taką biedną szkapę?

— Za sprawą szatana—odrzekła—mają oni zaślepione oczy. Za sprawą szatana, oszukują się i sądzą że ja wcale nie jestem biedna, lecz przeciwnie żem tęga, kapitalna szkapa!

— O nieszczęśliwy książę! O biedna moja szkapo!—zawołałem z westchnieniem i wpadłem w głęboką zadumę.

---

[4]) Byliśmy niewolnikami Faraona w Egipcie.

VII.

Obserwacye Srulika.

Świeży, pachnący wietrzyk łagodnie powiewał, a z chmur i nawałnicy nie została już nawet i pamięć. Wyświeżony, wymyty las stał jak oblubieniec (hoson-bochur), ubrany w nową zieloną kapotę prosto z igły; błyszczący jak jutrzenka poranna, która właśnie przyniosła wieść wesołą, że wkrótce już nadjedzie słońce, ta droga, złota teściowa—i że wnet się wesele rozpocznie.

Wszystko błyszczało, iskrzyło się, jakby w oczekiwaniu uroczystości. Wszystko wyglądało świątecznie, a dokoła czuć było aromatyczny zapach. Prześliczny jest poranek wiosenny, prześliczny! prześliczny!

Sławny muzykant—słowik nastroił już swe skrzypki i rozpoczął piękne, melodyjne „dzień dobry.”

Zagrał—i muzyka jego porwała mnie, poruszyła w mem sercu sto strun, które płakały, krzyczały i odzywały się najpłaczliwszemi nu

tami. Wszystkie moje wspomnienia zaczęły wirować w kółko — niby w dziwnym, szalonym tańcu... Zadumałem się i przed oczami mojemi stanęły wspomnienia i starych i nowych, a zawsze smutnych—obrazów.

I przedstawił mi się dzień w miasteczku; w jaki sposób przepędzają go ludzie? z czem wstają i z czem kładą się spać?.. Przed oczami memi przesunął się obraz wczesnego poranku.

Oto żydzi wstają z ciężkiem westchnieniem. Nie wiedzą co robić? od czego zacząć? czem się pożywić? Twarze ich blade są, czoła pełne zmarszczek... oczy biegają na wszystkie strony, jakby szukały czego się czepić? na czem się oprzeć? aby nie utonąć w fali dnia i jego potrzeb. Wzdychają tedy, wzdychają i marszczą czoła biedacy!... I oto znowuż ujrzałem inny obraz: „Jedwabni ludzie” wstają i ziewają, prostują kości i biorą się do „awejde” (modlitwa). Potem „rochco”, (umycie rąk), ubierają się w kapoty. kładą pończochy, pantofle i idą do wody.

Dalej „Pipke” [1]) (fajka); biorą machorkę i palą.

---

[1]) Według „Hagady,” żydzi zachowują stale kolejne następstwo obrządków podczas świąt pamiątki wyjścia z Egiptu. Kadesz, Urchac, Karpas etc. Abramowicz pisząc w jaki sposób „jedwabni ludzie” dnie przepędzają, ironicznie układa kolej

Gdy już są gotowi, szykują wielki worek, w którym jest „tales” i „tfilim” i każdy idzie do swojej bóżniczki, do swego zebrania, swego „minjen.” [2]) Tam przepędzają kawał dnia, troszkę gawędząc, zbierając wieści z pantoflowej poczty, troszkę modląc się, cokolwiek rozmyślając o Bogu, trochę zaś wódkę pijąc... Inny obraz: Oto idzie belfer i niesie na plecach, jak rzeźnik, dwa małe jagniątka, dwoje niewinnych dzieci, które tylko co obudził ze słodkiego, przyjemnego snu; którym przerwał piękne, wesołe marzenia, odpędził od nich aniołów, uśmiechy zamienił w łzy. Te dzieci płaczą, krzyczą gorzkim głosem, aż się po całej ulicy rozlega; rzucają się, szarpią, machają rękami i nogami, co minuta oglądają się na dom i nanowo wybuchają płaczem. One nie chcą być pogrzebane gdzieś w norze, nie chcą patrzyć na ponure twarze, widzieć dzikie tyraństwo i znęcanie się. Ledwie im się otworzyły oczy, ledwie rozprostowały nogi; pragnęłyby swobody, chciałyby żyć, skakać, bawić się!.. Ach! czemuż ledwie się zrobił dzień, już jest tyle jęków, tyle bólu, tyle rzek łez?!.. Smutna, bardzo smutna melodya!

Słowik śpiewał dalej, wywodził trele, a uczucia

---

ich czynności: „awejde,” „rochco,” „pipke.” Modlitwa, mycie się—i fajka!

[2]) Zgromadzenie dziesięciu żydów.

moje coraz bardziej i bardziej wzbierały... Przedstawił mi się rynek w miasteczku, taki jaki jest, ze wszystkiemi jego geszeftami i ludźmi.

Chudzi, zgłodniali tandeciarze, tragarze w dziesięcioro zgarbieni, kręcą się tu i tam zakłopotani, rozglądają się, oceniają na każdym ubranie, uważają kto ma podarte buty, kto spodnie, kto zaś kapotę. Znają oni w mieście najmniejszą łatę, najmniejszą szmatę. Wybladli, biedni ludzie biegają jak otrute myszy (wie farsamte majs), wsuwają wszędzie nosy, wąchając czy nie znajdą czasem kawałka chleba, odrobiny pożywienia. Każdy zamyślony, łamie głowę, zagryza usta, układa różne plany, każdy zsuwa czapkę na tył głowy, biega i kręci się, jak w świecie chaosu. Przedstawiły się w myśli mej wszystkie rodzaje kramów, sklepików, straganów i klitek. Dwudziestu kramarzy walczy o jednego kupującego, każdy ciągnie go do siebie i obiecuje złote góry, każdemu oczy wyłażą by zobaczyć choć grosz za sprzedany towar.

Kupujący i kramarz targują się, przysięgają na swoje sumienia, na swoje żony, swoje dzieci, na udział w życiu przyszłem, a jeden drugiemu wierzy jak psu! Rozchodzą się i oglądają się na siebie chytrze, wracają napowrót, znów się targują, zaklinają na tysiące przysiąg, dopóki jeden nie oszuka w rezultacie drugiego...

I ujrzałem znów w myśli gromadkę osób z laseczkami w rękach. Piękne osoby, trzymające się razem jak psy koło padliny, którą żyją... Ludzie, z których każdy oddzielnie nie wart trojaka, a jednak gra bardzo ważną rolę... Maleńcy oni są, bardzo maleńcy—a jednak i bardzo wielcy!.. Po za oczami opowiadają o nich nie bardzo piękne rzeczy; o nich, o ich żonach, o ich pochodzeniu; w oczy zaś każdy zna uszanowanie przed nimi. Ci ludzie są prawdziwą plagą społeczeństwa i wysysają z niego wszystkie soki żywotne. Na pozór zdaje się, że są bardzo zajęci, czynni, rozmawiający na migi—w rzeczywistości zaś to próżniaki, lekkoduchy, pasożyty. Krótko rzekłszy, to ludzie, którzy kręcą się ciagle koło kahału, chcą miastu przynosić pożytek, świadczyć mu dobrodziejstwa, mięszają się we wszystko i żyją sobie w czci, jedzą jak najlepiej i mają codzień szklankę dobrego wina. To ludzie, którzy kręcą się ciągle w izbie kahalnej, koło bogaczów, na zebraniach, w jatkach i handlach win, prowadzą całą komendę podczas wyborów, zbierają głosy, kłaniają się, zdejmują czapki przed każdym mającym znaczenie. Zawsze lubią oni się przedstawiać nowemu burmistrzowi, raportować mu o sprawach miejskich, słowem to ludzie, którzy są jako straszne wilki, pomiędzy słabemi, biednemi owcami na rynku.

Widzę tam dzierżawcę taksy (baałtakse), który był niedawno chudym żydkiem, biedakiem, kapcanem, chodził piechotą, w butach podartych, nikt na niego nawet nie patrzył... a teraz! ten sam kapcan, zapuścił sobie brzuszek, jeździ jak magnat faetonem, parą dobrych koni i skarży się przed wszystkimi na dzisiejsze ciężkie czasy!..

Przedstawiły mi się owe stemplowane gęsi (gesztempełte obdirkes), które „baałtakse" pozwala sprzedawać tylko w całości, nie zaś w kawałkach, ażeby biedni ludzie nie mogli kupić i zmuszeni byli brać drogie mięso... Słyszę larum, krzyk, wielki gwałt: oto złapano—hultajkę, złodziejkę, która, tknięta litością, sprzedała biednej żydówce kawałek gęsi dla chorego męża... Widzę jak robią obrachunek ze złodziejką, która płacze i krzyczy w niebogłosy...

Słyszę, jak ktoś targuje się z rzemieślnikiem, chcąc mu urwać grosz za jego pracę; rzemieślnik błaga litości, kłóci się, mówi że cały dzień pracował w pocie czoła, a zarobek nie wystarczy mu nawet na jedzenie, prosi, żebrze jak rozbójnika, ale nie chcą go słuchać. Wtem patrzę, zbliża się tęgi, zdrowy jegomość; poważny żyd w okazałej czapce i z chustką w ręku; dają mu sporą ofiarę, a on się krzywi, narzeka, że skąpo; dokładają jeszcze, jemu ciągle skąpo!.. Takiej osobie należy się daleko więcej, za jego brzuszek, zakręcone

pejsiki i szanowną fizyognomią. Jestto honor dla każdego, że jego pieniądze, jego praca utoną w żołądku takiego męża!

O, jak strasznie wygląda ten rynek, ile niesprawiedliwości na nim widać! Bieda, gorzka nędza, jej jęki i westchnienia głęboko uderzają w serce — smutna, bardzo smutna melodya!

Śpiewaj słowiku, śpiewaj! Pod wpływem pieśni twojej chcę trochę podumać, uprzytomnić i przedstawić sobie nasze cierpienia... Śpiewaj, śpiewaj, słowiku, chcę się trochę wypłakać przynajmniej.

Smutnie zaśpiewał słowik .. i przedstawiła się w wyobraźni mojej izba żydowska, mieszkanie. Drzwi nie zamykają się w niej ani na jedną minutę. Wchodzi i wychodzi mnóstwo biednych ludzi — młodych i starych, kobiet, dziewczyn i małych dzieci. Wśród przychodzących są poważni żydzi w atłasowych kapotach, którym trzeba coś dać, za zasługi ich przodków! Za nimi zjawia się „magid" (kaznodzieja), pogorzelec, taki który był w Jerozolimie, zbieracz składek na Jeszybot, [1]) kobieta opuszczona przez męża, ze starem zabrudzonem świadectwem o swej niedoli. Ledwie że ci drzwi zamkną za sobą, już jest szkolnik z synagogi, żąda zapłaty za miejsce, za

---

[1]) Wyższa szkoła wyznaniowa.

odśpiewanie modlitwy, za rozwiązanie ślubów etc. Gdy się z nim zdążą załatwić, wchodzi znowuż porządna gromadka „gabajów" z puszkami i bez puszek... Ten żąda składki na żydów w ziemi Izraela, inszy na „Talmud-Thorę" (szkoła wyznaniowa), trzeci na posag dla starej panny, czwarty na szpital, piąty na towarzystwo Miszny, szósty na nieustanne światło w synagodze — i jeszcze, jeszcze przychodzą członkowie różnych stowarzyszeń... To znów zjawiają się dwaj poważni obywatele, właściciele domów, z miną tajemniczą, szepcą coś do ucha, a potem mówią głośno i z naciskiem. Ha? teraz rozumiecie na co??—i biorą...

Tymczasem przychodzi znowuż sługa kahalny i pokazuje jakiś regestr; deputat zagraża egzekucyą, rzeźnik przybywa oświadczyć, że od jutra będziecie łaskawi płacić za oko mięsa o dwadzieścia groszy więcej, ponieważ podwyższono taksę! Jednem słowem rwą na wszystkie strony, każdy chwyta, każdy coś urwie, każdy szarpnie. Łzy stają w oczach, bo ciężko wytrzymać!.. Śpiewaj, śpiewaj słowiku... ja chcę trochę popłakać!..

Słowik znów zaczął śpiewać i wywodzić bardzo smutne trele, a ja rozmyślałem nad tem, gdzie przepadają żydowskie pieniądze, żydowska krew?! Leją się one jak woda i nie przynoszą żadnego pożytku. Za pozwoleniem powiedziaw-

szy, co jest nasza dobroczynność? co są nasze ofiary? Stają przed oczami mojemi nasze „Talmud-Thory.” Cóż to jest taka Talmud-Thora? Opuszczona, ponura rudera, chałupka na kurzej nodze, gdzieś w dziurze; wszędzie śmierdzi pleśń! Połamana podłoga i ławki pokryte grubą warstwą błota, okna wybite, zatkane szmatami. Biedne, głodne, obdarte sieroty walają się tam po samą szyję w śmieciach, zamorusane jak djabły i niepodobne nawet do ludzi! Co, za pozwoleniem powiedziawszy, może z nich być? czego one mogą się tu nauczyć i na co później się przydać? Ja słyszę, słyszę, jak one jęczą i wzdychają, słyszę głos ich zatraconych młodych lat, głos wydobywający się z kupy ziemi i śmieci! Słyszę, że ten krzyk nieszczęśliwych, zgubionych istot, wzbija się aż do nieba i woła „gwałt!” na całe miasto żydowskie. Na każdego z nas spadają krwawe łzy i każdy dźwigać je będzie... Przedstawił mi się szpital, albo dom przytułku dla chorych, schronienie, ze wszystkiemi jego dzikiemi porządkami. Jakiś krzyk, gwałt, lament rozlega się na podwórzu. Biedna żydówka przywiozła tu chorego męża, jej jedynego żywiciela, podporę rodziny. „Gabaje” jednak nie chcą go przyjąć, gdyż nieszczęsna nie mogła im dać naprzód kilku rubli. Gdy ta biedna biegała tu i tam łamiąc sobie głowę, aby wydobyć skąd pieniędzy,

nieszczęśliwy jej mąż umarł tymczasem pod płotem! Swieża wdowa przychodzi i opłakuje swego męża na ulicy; wraz z nią płaczą biedni ludzie, inne stroskane wdowy. Robi się gwałt, lament, łzy leją się strumieniem. Powoli, powoli, słowiku, bo struna pęknie w mem sercu!..

Znów się słowik odezwał... i przedstawiły mi się żydowskie porządki; jak ze wszystkich naszych rozpraw niema rezultatu. Za pozwoleniem powiedziawszy, „me onu me hainu" (co my, i co życie nasze?). Przedstawiły mi się nasze zebrania; jest tam wrzask, wrzawa i hałas jak w łaźni; jeden drugiemu przeszkadza; gdy jeden powie słowo, drugi krzyczy: nie, na odwrót! przeciwnie! i obadwaj sami nie słyszą co mówią. Każdy ma się za bardzo mądrego, za dowcipnisia, i gdy kto zaczyna mówić, zaraz mu przerywa. „Et—powiada—czekajcie, o tej rzeczy ja już mówiłem bardzo dowcipnie"... Co to jest!? — wykrzykuje ktoś z boku—ja przecież także jestem gospodarz, tutejszy, ja też mam głowę! W końcu wszyscy się okropnie zapocą i sami nie wiedzą z czem przyszli na zebranie i z czem ztamtąd wychodzą?.. Jest między naszym ludem bardzo dobre przysłowie; „postanowiono, żeby Szymon Warger mieszkał nadal z rozwiedzioną żoną (es is gebliben: Szimen Warger soł wajter wonen mit der gruszo). Slyszę, jak paru bogaczy, kilku

krętaczy kahalnych i „baałtakse" ze swoją świtą śmieją się potem z całego zebrania i robią dalej co im się podoba. Zazwyczaj, po zebraniu mięso musi zdrożeć; dobroczyńcy miasta biorą dla siebie po jakimś trojaczku od funta i, pocichutku ustanawiają nową opłatę.

Stanęły mi przed oczyma nasze wybory, z których wychodzą „członkowie" i gubernialny rabin („a guberske row"). Fe! co się tam dzieje! Nie mogę patrzyć jak ludzie utracili rozum, serce i wolną wolę, nie mogę patrzyć, jak czapkują przed lada bogaczem, jak kłaniają się zbogaconym „miszuresom" i tym podobnym osobom! Nie mogę patrzyć, jak sprzedają prawdę, sprawiedliwość i pożytek miasta za kieliszek wódki, za knysz!! Gotuje się we mnie krew, gdy widzę, że z powodu grzechów naszych, niema u nas z kim zacząć, z kim działać. Nikt nie myśli na seryo! Żółć się we mnie przewraca, gdy patrzę, jak ten nasz światek śpi, jak jest pogrążony w marzeniach, nic nie myśli, nad niczem się nie zastanawia, nie rozumie swego położenia, nie kłopocze się i nie czuje nic, prócz tego tylko, co wyłącznie dotyczy jego duszyczki. Zupełnie jak za pozwoleniem woły, gdy jednego rżną, drugi patrzy przeżuwając spokojnie. Dziura mi się robi w sercu gdy na to patrzę. Gwałtu, słowiku! przestań, bo mi znów struna w sercu pęknie!

Płacz, płacz, Sruliku – mówił do mnie w każdej nucie śpiewak leśny i przypomniało mi się, jak przy obrządku ślubnym „badchon" mówi o sieroctwie; sierota musi od każdego na świecie wycierpieć... Płacz, płacz, Sruliku, a ty muzykancie, graj!!

Zakryłem oczy chustką, obtarłem łzy, a w wyobraźni mojej ujrzałem znowu niewesołe rzeczy. Przedstawiły mi się, nasze domy modlitwy, nasze „klojzeł." Za pozwoleniem powiedziawszy, jak wyglądają one, jak są utrzymane, i jak się zachowują w nich ludzie? Wchodzę tam, i odrazu uderza mnie w nos! Próżniacy powyciągali się tam na stołach i ławkach, z fajkami w gębach; palą, kpią z całego świata, i opowiadają sobie różne historye. Są to tego rodzaju robaki (pasożyty), które wszystko toczą i całe pożywienie mają z innych.... Jest to rodzaj nowomodnych bankierów, którzy wszystkie domy w mieście uważają za swój kantor; każdy jest wiecznie im dłużny i ma z niemi rachunki bieżące, a za szczęśliwego powinien się uważać ten, któremu wypłatę odroczą trochę na później. Ja widzę tutaj kapcanów, dałfonów, próżniaków, kalek-mełamedów, i takich, którzy od roku, pięciu, dziesięciu i czternastu lat żyją kosztem swych teściów...

Słyszę jakieś dźwięki muzyki; gwar się przybliża—naprzód lecą ulicznicy, za niemi poważniej-

sza publiczność... Hawdoły[1]) płoną. Ku bóżnicy niosą „chupe,"[2]) aby uczynić nieszczęśliwymi chłopca i dziewczynę. Widzę, że noszą tę „chupe" do późnej nocy, i że zrobili masę wesel!.. Stare baby klaszczą w ręce, rodzice oblubieńców tańczą, goście są weseli, wszędzie radość! Życzę wam szczęścia, (mazeł tew!) życzę wam szczęścia, nowa gromado biedaków, wam, nowi kandydaci na mełamedów, na zbieraczy jałmużny! Winszuję wam żydzi, z wszystkiemi waszemi biednymi leniwymi i pustymi ludźmi, winszuję wam nowych pijawek! Szykujcie żydzi krew, szykujcie im pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy!...

Gwałtu, słowiku! już dość, bo pęka mi serce— rwą się w niem wszystkie struny!..

---

[1]) Świece woskowe.

[2]) Baldachim, pod którym stoją oblubieńcy podczas obrządku ślubnego.

ROZDZIAŁ VIII.

Ledwie żywa wyszła z ich rąk.

Kiedym się obejrzał na moją szkapę, zobaczyłem, że leży wyciągnięta jak martwa, i ciężko sapie.

— Ach!—odezwała się do mnie z westchnieniem—oni mnie już całkiem zamęczyli! Czuję, że czem dalej, tem bardziej siły tracę. Ach tak! strasznie jestem zbiedzona—strasznie słaba! Każda kość, każdy członek mnie boli, tak mnie zmordowały te kilka osób, z których rąk ledwie żywa wyszłam.

— Opowiedz mi—rzekłem—kto były te osoby i co ci one zrobiły?

— Pomóż mi, proszę cię, podnieść się trochę i oprzeć na boku, nieprzyzwoicie jest bowiem leżyć w tej pozycyi—a sama, o swoich siłach, nie mogę się ruszyć. Aj! moja głowa! moja głowa!

— Co?—zapytałem z litością — ciebie głowa boli?

— Aj!—odrzekła—boli mnie każdy członek,

każda kość oddzielnie: Boli mnie głowa, boli mnie cała przednia część, boli z przeproszeniem, cała tylna część—wszystko mnie boli!

— Nie poddawaj się temu tak bardzo, prosiłem. Rano, pójdziemy do miasta, to poproszę doktora, żeby cię obejrzał i co zapisał.

— Aj! aj! — krzyknęła przestraszona — nie wspominaj mi, proszę cię, o żadnym doktorze! Kto może znać lepiej doktorów, konowałów, z ich lekarstwami, z ich zapisywaniem?! U nich, to przedewszystkiem puścićkrew i zaciągnąć zawłokę! Mam ja na mojem ciele dość znaków, od ich zapisywania. Czy widzisz te świeże siniaki? Niedawno mi je zrobił dnieprowicki konował swemi przyborami, swojem zapisywaniem! On jest uszczęśliwiony, bardzo uszczęśliwiony, jak mu się trafi sposobność co zapisać. Znajduje się mnóstwo takich doktorków, którzy na najmniejszą rzecz, na głupstwo, zapisywaliby chętnie całe „megile" [1]), całe foliały.

Gdy szkapa oparła się trochę na boku i leżała jakiś czas cicho, odpoczywając i chwytając oddech, ujrzałem, że jakby zmieniła się jej fizyognomia; patrzyła na mnie rozumnemi oczami, zupełnie jak człowiek, a później zaczęła opowiadać w te słowa:

---

[1]) Obszerna historya.

— Jeżeli byłeś kiedy w Głupsku, to na pewno musisz wiedzieć, że niedaleko miasta, koło lasu, stoi wielki pałac, ruina od bardzo dawnych lat. Wielki, szeroki plac, na którym ów gmach się wznosi, zachwyca oczy przechodnia piękną zielonością, owocowemi drzewami, aczkolwiek zapuszczony jest i zupełnie trawą zarosły.

Niejeden z tych, którzy chodzili w tamtą stronę na spacer, myślał sobie, że jeżeli mu Bóg pozwoli wygrać 200,000 rubli, albo też znaleźć skarb, lub coś podobnego, (czem Najwyższy może obdarzyć człowieka) — nie jeden sobie myślał, że w takim razie zarazby kupił tu plac i postawił bardzo piękny dom. Lepszego miejsca trudno znaleźć. Tu możnaby żyć szczęśliwie i między Bogiem i między ludźmi! Tak życzyło sobie bardzo wielu i życzenia te, jak to zazwyczaj bywa— kończyły się na niczem. Tymczasem stary pałac pozostawał ciągle w opuszczeniu i stał tak przez długie, długie lata.

Wszystko na świecie ma jednak swój koniec; więc też i pałac doczekał się reperacyi. Zjawił się niespodzianie szczęśliwy człowiek, któremu było sądzono przyjść do posiadania pięknego mienia...

Sądzicie może, że człowiek ów wygrał na loteryi? albo że znalazł skarb? Broń Boże — nawet złamanego szeląga! Więc myślicie, że trudnił się

handlem i zarobił tak dużo? Jeszcze raz: nie! Broń Boże! przeciwnie, wiadomo każdemu, że on nigdy do handlu szczęścia nie miał. Owszem już kilkakrotnie w swem życiu i własne i cudze pieniądze (niech to o was pomyślanem nie będzie) stracił.

Do czego tylko się dotknął, to musiał zepsuć. Raz przyczepił się do cukrowni, należącej do wielkiego, sławnego kupca i tak dobrze interes poprowadził, że zanim ów kupiec zdołał się obejrzeć— już był wpakowany w błoto po samą szyję. Nie naumyślnie, nie! ale tak sobie po prostu, ponieważ ten człowiek nie miał wcale szczęścia do handlu. Jakimże więc sposobem doszedł do posiadania placu? Oto Bóg mu dopomógł wkręcić się do kahału i zostać „dobroczyńcą miejskim.” Zaledwie pobył jakiś czas na tem stanowisku, przy kahalnej skrzyni, wnet mu Pan Świata odrazu wypłacił nagrodę za wszystkie jego dawne cierpienia. Za jego dobroć, za jego trudy dał mu ten stary pałac...

W owym to czasie ja, nieszczęsna szkapa, znajdowałam się w jego rękach. On wziął się do mnie z wielkim gustem i zapędził mnie do ciężkiej roboty. Zaprządł mnie do wozu i ja biedna musiałam mu zwieźć wszystką cegłę i glinę na wielki dom, który sobie zbudował. Aj! strzeż mnie Boże nadal od takiego gospodarza!!

Zaledwie zbudowałam mu „Pythom" zapędził mnie zaraz do budowania „Rameses."[1]) Na wielki plac w środku miasta, który przez wiele lat był pusty, musiałam znowuż zwozić glinę i cegłę, na ogromne, murowane budowle z mnóstwem sklepów.

Ciężej jednak aniżeli ziemię i glinę było mi wozić różne „jarmułki" z całą ich świtą, które rozmnożyły się w rozmaitych miasteczkach. Miałam dosyć latania, aby każdemu oddzielnie dostarczyć wszystko co do życia potrzebne. Kładli ciężary i pędzili mię, pędzili! Już nie miałam siły wytrzymać... Tymczasem wypadło mi nieść jeszcze większy ciężar, jak to zaraz usłyszysz.

W jednem miasteczku, nad Dniestrem, leży pogrzebany od stu lat pewien wielki uczony. Nagle w pomniku postawionym na grobie tego uczonego zaprowadzono *„ciągły ogień"* to jest lampkę, zwyczajną lampkę olejną z knotem. Jak myślicie: cóż to jest taka lampka? co za ważna rzecz? za kilka groszy może się ciągle palić...

Mnie jednak kosztowała ona dość zdrowia i życia! Ci ludzie, którym przyszedł pomysł urządzenia owej lampki—i którzy tak od tutejszych jak i od przejeżdżających brali i pieniądze i olej, ci

---

[1]) Rameses i Phytom miasta zbudowane przez żydów podczas niewoli egipskiej.

ludzie zabrali mnie w swoje ręce. Od tego czasu musiałam im zwozić do sklepów różne rzeczy; całe beczki oleju, beczki śledzi, tranu i tym podobnych towarów, jakie tylko potrzebne są w handlu. Oj! od tej jednej lampki robiło mi się ciemno w oczach!!

Ledwie żywa wydobyłam się z ich rąk, lecz widać sądzono mi było już ciągle cierpieć i przenosić wszystkie plagi świata, każdą oddzielnie. Tego, do kogo djabeł znowuż mnie zaprowadził, widziałam po raz pierwszy w mem życiu. Ciężar, który na mnie wówczas wpakowano, nie był bardzo wielki na wagę, miał on jednak straszliwą objętość. Rzeczy zaś mające bardzo wielką objętość gorzej jest wozić, aniżeli glinę i cegłę, niż beczki oleju i śledzi. Ów człowiek tak mnie obładował arkuszami drukowanej bibuły, że z pod niej widać było tylko parę długich uszu i z przeproszeniem... ogon[1]).

Ludzie trzymali się za boki śmiejąc się z tego co tam było wydrukowane! Śmieli się do rozpuku i ze mnie i z niego i z nas obojga razem. On, i to jest właśnie ciekawe, zachowywał się całkiem spokojnie, jak gdyby o niczem nie wiedział i nie domyślał się nic. Mnie jednak, jak na złość, wydało mi się to bardzo nieprzyzwoitem; nie po-

[1]) Dwuznacznik.

dobało mi się wcale, że dla jego miłości jestem przedmiotem pośmiewiska. Rwało mi się również serce z żalu nad nim, że tak ludzie drwią z niego. Był to człowiek, który przez cały czas mego pobytu u niego, ani odrobiny nie skłamał, ani troszecki. Był to mąż pełen tajemnic i wydawał częstokroć takie „tajemnice" („sejdejs"), które były każdemu doskonale znane; jak naprzykład: że w tem i owem mieście mieszkają ludzie, że jeden Rubin nazywa się Rubin, Szymon nazywa się Szymon, a Lewi nazywa się Lewi... Że tam i tam znajdują się „bejshamidrasze" (domy modlitwy) i rzemieślnicy; że bydło wypędzają do stada, i że kaczki chodzą boso... W tem właśnie może, iż wydawał on takię „tajemnice" leży największa tajemnica... i to zapewne nie było robione napróżno[1]).

No — i żeby taki dobry, prawdomówny człowiek, taki mąż prosty, bez żadnych figlów mądrości, mógł mieć aż tylu wrogów?! Żal, dalibóg żal! Mało mam własnych cierpień, muszę jeszcze dźwigać jego cierpienia! Dość jestem nieszczęsna, a tu djabeł przyczepił mnie jeszcze do tamtego nieszczęsnego. Musiałam znieść wiele i za siebie i za niego! Wolałabym już taczki ciągnąć, byle się tylko uwolnić od dźwigania tej strasznej

[1]) Aluzya do literatury żydowskiej.

objętości i od ludzkiego szyderstwa! Uważałabym się za bardzo szczęśliwą, gdyby był rozgniewał się o co i sprzedał mnie komu innemu. Życzyłabym mu za to wiekuistego życia! gdyż rozłączenie się byłoby najlepszem dla nas obojga... Za sprawą szatana jednak, podobałam mu się bardzo i widocznie przypadłam mu do gustu. Jednem słowem lubił mnie, bardzo lubił! Aż mnie nudności porywały, słysząc taką mowę. (niech to dziś pomyślanem nie będzie!) Kilka razy przewróciłam się z całą paką nastroszonego towaru, a potem długo nie widziano nas włóczących się po świecie. On jednak bywało, wzmacniał się na sercu i, przy Bożej pomocy, na nowo zaczynał wyrabiać ze mną komedye, aż szatan nareszcie ubawił się mną i nim dowoli, dowoli się naśmiał i nawyprawiawszy ludziom uciechy, ulitował się nademną i rozłączył nas.

Ledwie żywa uciekłam i rzuciłam się w Dniepr, aby obmyć się trochę i strząsnąć z siebie kurz i błoto. W mieście ty mnie spotkałeś — i co się dalej stało wiesz już.

IX.

Litość nad zwierzętami.

Gdy szkapa opowiedziała mi swoją historyę, westchnąłem z całego serca i zamyśliłem się głęboko.

— Coś ty za dużo myślisz o mnie—zawołała—jesteś bardzo wzruszony... lepiej oto, połóż się spać i odpocznij sobie choć trochę...

— Ja mam spać!?—zawołałem z ogniem—podczas gdy ty cierpisz; gdy jęczysz, gdy boli cię każda kostka! Ja mam spać, wówczas gdy ty potrzebujesz pomocy, gdy o własnej sile nie możesz ruszyć się z miejsca i potrzebujesz kogoś, coby pomógł ci podnieść się i stanąć na nogach!?.. Co prawda, ja nie jestem człowiekiem takim, jakiby ci się przydał w tej ciężkiej potrzebie. Cóż słaby człowiek jak ja może ci dopomódz? Co, za pozwoleniem powiedziawszy, znaczy cała moja siła? Ja sam zaledwie trzymam się na nogach, można mnie zdmuchnąć jak piórko... Ty potrzebujesz mieć przy sobie kogoś silnego, mocarza,

pełnego zdrowia!!. Lecz ponieważ tego mocarza nie masz dotąd, ponieważ nie staje w twej obronie nikt a nikt, nie zmuszaj mnie przeto, abym udawał, iż nic nie wiem i położył się spać. Ja muszę wytężyć wszystkie siły, ażeby według mojej możności, chociaż cokolwiek ci dopomódz. Nie! dalibóg, nie! jakżebym śmiał? jakżebym mógł spać?! Powiadasz, że powinienem spocząć; przeciwnie, czy możliwym jest spoczynek po tem wszystkiem, com tu widział i słyszał? Mogęż spocząć, gdy tak wielkie cierpienia stają przed memi oczami? gdy całe stado próżniaków, wysysających krew, uderza na mą głowę, jak chmara niszczącej szarańczy. Ot! ot! zdaje się, zaraz spadną na mnie, rozerwą mnie na kawałki. Ot, ot, każdy ukąsi. Ot! ot! zjedzą mnie zupełnie i nawet wspomnienia ze mnie nie zostanie. Nie, nie, powiadam tobie—ja nie chcę spać, nie chcę odpoczywać!!

— Ty mówisz—rzekła do mnie szkapa, kiwając głową—ty mówisz z wielkim ogniem, jak młody człowiek; jak taki, przepraszam cię, który dopiero co skończył klasy. Zazwyczaj młody szybko zawiera znajomości i przejmuje się każdą rzeczą. Takich uderza najmniejsza niesprawiedliwość i wnet wybuchają płomieniem, mówią o ogniu i o wodzie (o wszystkiem), biorą do głowy puste rzeczy i sądzą że potrafią cały świat przebudować,

urządzić inaczej. Widziałam już bardzo wielu takich w mojem życiu. Gdy jednak stali się nieco starszymi i uczuli na swoich barkach ciężar wyżywienia się, wtedy spuścili nosy na kwintę, coś odebrało im mowę—i oprócz własnych interesów nie zajmowali się niczem więcej. To jeszcze dobrze, że sami pozostali uczciwymi, że nie sprzedali prawdy za grosz i nie stanęli w jednym szeregu z tymi, których nie chcieli znać poprzednio za ich krzywe postępowanie. I to jeszcze dobrze, że nie rzucają ogniem na swoich dawnych przyjaciół.... Z tobą tak samo się stanie. Teraz jesteś jeszcze młody, gorący jak ogień, ale później ostygniesz, zapomnisz o mnie i będziesz spał najspokojniej; co cię obchodzić będzie taka biedna szkapa? Nie szkodzi! Staniesz się chłodnym i milczącym. Już to jest taki porządek natury i u ludzi i u zwierząt. Spojrzyj naprzykład na najmniejsze cielę, jak ono silnie wierzga nogami, jak rzuca się i skacze niby djabeł; a zobacz-no to samo cielę trochę później, gdy stanie się już wołem! jak cichem wówczas, jak spokojnem jest ono; jak pokornie dźwiga jarzmo na karku... I cóż, mój kochany, doprawdy każdy z czasem musi stać się wołem!

— Dalibóg!—zawołałem jeszcze z większym ogniem—dalibóg, że co do mnie, popełniasz omyłkę. Powinnabyś wiedzieć co u mnie w sercu jest;

co ja już zrobiłem dla ciebie i co jeszcze zrobić zamierzam!

— Co ty dla mnie zrobiłeś i co jeszcze zrobić zamierzasz?!—zawołała szkapa zdumiona... Coś zrobił? Powiedz, bądź łaskaw, daj mi to usłyszyć?

Przez jakiś czas bobrowałem w bocznej kieszeni ubrania i wydobyłem ztamtąd paczkę zapisanego papieru.

— Otóż to — rzekłem robiąc minę poważną i pokazując arkusz zapisanego papieru—otóż pokażę ci, com zrobił dla ciebie! Oto jest list, który napisałem o tobie, do komitetu „*Opieki nad zwierzętami*" [1]), poznawszy poprzednio twoje opłakane położenie.

Szkapa utkwiła we mnie oczy, a ja odczytałem jej głośno mój list, skreślony w następujących wyrazach:

„Wzniosła cnota litości tak bardzo jest silną i modną w czasach dzisiejszych, że ludzie zaczęli uczuwać miłosierdzie nietylko względem samych ludzi; to jest że przestali uważać za wrogów jedni drugich, przestali się prześladować wzajemnie i ukręcać sobie głowy jak w dawnych latach; lecz przeciwnie zaczęli widzieć w każdym brata, to-

---

[1]) Widocznie autor ma tu na myśli „Alliance Israélite."

warzysza, przyjaciela, bez względu na różnice narodowości i religii,—nietylko powtarzam, zaczęli uczuwać miłosierdzie względem samych ludzi, lecz nawet względem bydląt... Nawet bydlęta traktowane są dziś litościwie i uważane za boskie stworzenia. Stąd też dzisiejsze czasy mają prawo nosić szczytne miano: „wieku ludzkości...”

— Poezya! poezya! poezya! — przerwała mi szkapa z ironią. Bardzo piękna ludzkość! Pomyślno tylko, jak dziś człowiek człowiekowi odbiera życie łatwo, prędko i bez wielkiego zachodu, za pomocą wybornej broni i bardzo mądrych wynalazków...

— Czekaj no, czekaj—krzyknąłem rozpłomieniony, nie chcąc słuchać tego co mówiła szkapa. Uważaj no dalej i nie przeszkadzaj mi! Na czemże to stanąłem? Aha: „Dzisiejsze czasy mają prawo nosić szczytne miano „wieku ludzkości.” Zaszczyt popierania tak dobrych obyczajów należy także i wam panowie; wam drodzy, dobrzy, djamentowi kierownicy „towarzystwa opieki nad zwierzętami.” Przez was to, za waszą sprawą, doznało ulgi tak wiele stworzeń, wiele bydląt, wiele ptaków! Dzięki wam obchodzą się dziś z niemi lepiej, bardziej po ludzku, a prześladowanie, znęcanie się, bicie wychodzi z mody. Wszędzie, po wszystkich drogach i dróżkach, po wszystkich miastach, wioskach i rozmaitych dziurach, znaj-

dują się wasi miłosierni agenci, dobrzy, litościwi ludzie z „towarzystwa;" ci pilnują i dochodzą zaraz najmniejszej krzywdy. Broń Boże, żeby dzisiaj kto kogo skrzywdził!

— Poezya! poezya! poezya! — zawołała znów szkapa, przerywając mi mowę z wielką ironią. Dobrze, błogo wam żyjące stworzenia! błogo wam dzieci tych stworzeń, żyjące za czasów takiego pokolenia, że dobrzy ludzie z „Towarzystwa" troszczą się o was!... Tańcz bydełko tańcz!.. Wejdź no do szlachtuza z łaski swojej, wejdźno a usłyszysz tam cały koncert! Zobaczysz i usłyszysz, że kury i kaczki i tym podobne stworzenia śpiewają, skaczą i trzęsą się z radości! Tam stoi król wszystkich stworzeń „szejchet" (rzeźnik), nabożny człowiek... Odmawia błogosławieństwo i przerzyna im gardła, a zaraz w gorącej chwili wyrywa z nich wszystkie pióra. Kogut wrzeszczy „amen" całym głosem—i wypuszcza z siebie duch z wielkiej radości! Rzuca się jeszcze przez jakiś czas póki dusza z niego nie wyjdzie, szczęśliwa, że miała honor, wraz z innemi kurami miasta, pozostawić w sukcesyi swoje pióra dla nabożnego, miłosiernego rzeźnika. Za tę sukcesyę chciał ktoś w pewnem miasteczku dać 3,000 rs. na „Talmud—Thorę," lecz rzeźnik ze swoją kompanią nie chciał wypuścić z rąk tak złotego, drogiego spadku. Wiem ja, wiem co to taka sukcesya ro-

cznie przynosi, co jest warta! Dość nadźwigałam się worków z pierzami służąc u rzeźników w Głupsku. Dosyć się napociłam z powodu tej sukcesyi, a raczej monopolu na pierze („hazoke federen”). Dość napociłam się i zakurzyłam... jeszcze mnie kości bolą.

— Et, et!—zawołałem zapalony czytaniem, co to ma za związek z rzeźnikiem? Dalibóg moja szkapo, ty wcale nie rozumiesz metody pisania i nie masz pod tym względem najmniejszego poczucia. Oto słuchaj lepicj dalej, co dalej stoi napisane. Nie przerywaj lecz słuchaj, ale z głową, uważnie. Oto co napisałem więcej: „I ponieważ miałem honor i wielkie szczęście wkupić się do „Towarzystwa,” przeto poczuwam się do obowiązku donieść panom o pewnem stworzeniu, które wcale nie ma nazwy i któremu, słowo daję, nie wiem jakie dać miano? Powinienbym je nazwać szkapą, lecz proszę was nie śmiejcie się panowie, zdaje się, że to jest trochę człowiek. Gdybym zaś chciał nazwać je człowiekiem, to, znowuż was przepraszam panowie, nie śmiejcie się, zdaje się, że ono jest szkapą. Po prostu powiedziawszy. stworzenie to żyje jak szkapa, lecz wszystkie jego uczucia i postępki są jakoby człowiecze. Jeżeli to weźmiemy z filozoficznego punktu widzenia, to już na świecie zdarzały się podobne przykłady; bo nie masz nic nowego pod słońcem. Czem by-

li naprzykład paryasy w Indyach? Niby ludzie, a znaczyli tyle co psy;.. a czem że byli ci, którzy pracowali na amerykańskich plantacyach? także ani to ludzie ani bydło. Nie chcę się jednak zapuszczać w dociekania filozoficzne, nie chcę rozbierać zbyt wysokich materyi; dość będzie powiedzieć że w naszym kraju jest także pewien rodzaj stworzeń bardzo cierpiących, dźwigających wielkie ciężary, noszących jarzmo, które przechodzi ich siły. Pomimo tego obchodzą się z niemi bardzo źle; trzymają je z daleka od miejskiego stada jak zarażone. A niechno które cokolwiek liźnie, cokolwiek ukąsi, wtenczas szczują je psami, krzyczą gwałtu że robią szkody—i biją nieszczęsne ze wszech stron! Wielu ludzi z „Towarzystwa" patrzy na to zupełnie obojętnie. Parę razy probowałem im to przedstawić, chciałem krzyczeć gwałtu! co się tu wyrabia!? Przypuśćmy, że stworzenie, o którem tu piszę, jest niczem więcej jak zwyczajną szkapą. lecz pominąwszy wszystkie inne względy, zawsze jednak należy pamiętać, że to jest stworzenie Boże, nie gorsze od innych szkap. Dla takich przecież istnieje „Towarzystwo opieki nad zwierzętami!" A wy miłosierni starsi tego towarzystwa, którzy macie tak wielką litość nad wszelkiemi zwierzętami i nad wszelakiem bydłem, zmiłujcie się nad biedną, nieszczęśliwą szkapą, nie dajcie robić jej krzywdy!.. Roz-

postrzyjcie nad nią swoje skrzydła i dopomóżcie jej trochę. Niech ona nieszczęsna wie o tem, że czas obecny jest „wiekiem miłości“ i że w nim istnieje „Towarzystwo opieki nad zwierzętami!“

ROZDZIAŁ X.

Kto winien?

Ostatnie wyrazy mego listu, że „czas obecny jest wiekiem miłości i że w nim istnieje „towarzystwo opieki nad zwierzętami“, przeczytałem głosem tak donośnym, tak silnym, że aż się rozległo w całym lesie; tak, jakby wszystkie stworzenia miały się rozradować, jakby się miały objąć wzajemnie z radości, powinszować sobie wieści szczęśliwej i wykrzyknąć: Niech żyje i niech zdrowem będzie „towarzystwo opieki nad zwierzętami!“ Nawet nazwę „towarzystwo“ słyszałem bardzo wyraźnie rozlegającą się po lesie.

Szkapa jednak milczała ciągle, kiwała łbem i patrzyła na mnie z uśmiechem, jak gdyby chciała powiedzieć: oj, oj, jakiżeś ty naiwny! Przykro mi się z tego powodu zrobiło, ale pomyślałem sobie: et, ona nie ma najmniejszego pojęcia o piśmie, i nic dziwnego (niech to na was pomyślanem nie będzie) przecież tyle lat jest już szkapą!

Podrapałem się w tył głowy, wyciągnąłem

z kieszeni inny arkusz papieru i zacząłem czytać to, co komitet „towarzystwa“ odpowiedział na moje przedstawienie:

„W odpowiedzi na przedstawienie pańskie co do szkapy, albo też stworzenia, którego nieszczęścia nie możemy zrozumieć, komitet „towarzystwa“ ma zaszczyt odpowiedzieć szanownemu panu, że niezależnie od niego, już mnóstwo osób podawało prośby dotyczące tej samej szkapy. Część tych próśb opisuje nieszczęśliwe jej położenie i żąda wpływu naszych członków, aby wszędzie tam gdzie się szkapa znajduje, obchodzono się z nią po ludzku, na równi ze wszystkiemi innemi stworzeniami. Odpowiadamy wszystkim jednakowo, że na podstawie prawa litości wszystkie stworzenia są sobie równe, nawet szkapa... i ktokolwiek ją ukrzywdzi, ten będzie miał z nami obrachunek według prawa. Znajduje się również pewna ilość ludzi piszących o tej szkapie całe komentarze, opowiadających o niej dziwne i osobliwsze rzeczy — akurat jak szanowny pan to czyni. Naodwrót znowuż, są inni piszący, którzy przedstawiają sprawę zupełnie w innem świetle. Twierdzą oni mianowicie, że szkapa potrzebuje szturchańców („a klap“), że bez nich obejść się nie może, gdyż w inny sposób niepodobna dojść z nią do ładu. Według tego co oni powiadają, owa szkapa prowadzi się bardzo

dziko, a postępowanie jej, cały jej chód, nie jest taki jak należy. Skoro ją zaprzęgną, porządnie jak potrzeba, w tej chwili staje dęba, zaczyna się oglądać raz po raz, wyskakuje z hołobli, zrzuca z siebie cały ciężar, a nawet lubi z nienacka wierzgnąć, kąsać małe dzieci... Trzeba koniecznie mieć dobry bat, gdyż bez bicia nie sposób dojść z nią do ładu; przy tem wszystkiem jest bardzo nieporządna, nieczysta, wisi na niej długa kołtunowata grzywa.... Jest tak szkaradna, że nie sposób puszczać jej pomiędzy inne konie, gdyż może je pozarażać. Co się tyczy roboty, jest leniwa, nie zdatna do żadnej pracy, oprócz chyba do pewnych, nie bardzo pięknych zatrudnień. W dodatku do tych wszystkich przymiotów, lubi ona jeszcze chodzić w szkody. Nieraz już złapano ją w zbożu, które pożerała i deptała, wyrządzając chłopom wielkie krzywdy, podczas gdy inne konie, bez porównania piękniejsze i lepsze aniżeli ona, pasły się bardzo przyzwoicie. Ztąd też niebezpiecznie jest trzymać taką szkapę na wsi.

„To też nie należy się bardzo za nią ujmować, jeżeli kiedy dostanie szturchańca — i członkowie towarzystwa nie nad każdą istotą powinni się litować;—ta szkapa bowiem niejednokrotnie zasługuje na porządny szturchaniec. Jest ona albowiem istnem nasłaniem, plagą Bożą.”

Szkapa westchnęła ciężko. Nastroszyła uszy słysząc takie denuncyacye, takie oskarżenia. Ja, odetchnąwszy cokolwiek zacząłem dalej czytać.

„Komitet, wysłuchawszy uważnie obydwie strony i zebrawszy sekretnie, za pośrednictwem członków towarzystwa, dokładne wiadomości o owej szkapie, powierzył całą sprawę oddzielnej komisyi, która ma obmyśleć odpowiednie środki. Komisya wzięła się gorąco do pracy i jest nadzieja, że (jeżeli Bóg pozwoli) przyjdzie do jakiegoś ładu.“

— Powiedz mi—rzekła szkapa — czy będzie kiedy koniec tej pustej gadaninie? bo dalibóg, aż mi się niedobrze robi, gdy słucham tych głupstw!.

— Czekaj no, czekaj—rzekłem—wkrótce zaczniesz słuchać z przyjemnością.

— „Na pańskiem przedstawieniu — czytałem dalej—komisya napisała swe zdanie w następujących słowach: „przedewszystkiem potrzeba obciąć tej szkapie kołtuny, ażeby naprawdę była trochę czyściejsza. Ażeby zaś polepszyć jej położenie na przyszłość, potrzeba, według naszego przekonania, ażeby nie była ona taka gruba, nieokrzesana, potrzeba ją nauczyć chodzić (wykształcić); nauczyć w jaki sposób powinna stawiać nogi. W takim tylko razie będzie mogła korzystać z naszej opieki, w takim razie powtarzamy, gdy będzie umiała wszystkie sztuki, jakich wymagamy zwykle od szkap uczonych.

Wówczas towarzystwo stanie w jej obronie. Tymczasem trzeba pilnować, aby od pól ze zbożem trzymała się zdaleka; należy tego pilnować dla jej własnego dobra. Skoro bowiem przestanie robić szkody, nikt na nią napadać nie będzie. Taki plan wypracowany został przez komisyę— i my, zrobiliśmy wszystko co było w naszej mocy, by takowy, przy Bożej pomocy, wykonać.

„Zawiadamiając o tem postanowieniu, nie możemy się powstrzymać, aby nie wyrazić ci, łaskawy i szlachetny panie, podziękowania za gorliwość z jaką służysz sprawom towarzystwa i za miłosierdzie, z jakiem ujmujesz się za niewinnemi, nieszczęśliwemi stworzeniami. Komisya bądź pan pewien, ma oko, i wie jak cenić takich pożytecznych ludzi i t. d. i t. d."

Szkapa leżała spokojnie: nie odzywając się wcale. To jej milczenie przestraszyło mnie, sądziłem albowiem, że utraciła mowę...

W chwilę później usłyszałem w lesie jakieś głosy i zacząłem drżyć; przecież to las! może człowieka co niedobrego spotkać. Może wilk, a może rozbójnik! Chwyciłem się za kieszeń i skryłem pod gałęzie, mocno przerażony. Głos rozlegał się coraz wyraźniej, i po kilku minutach ujrzałem chłopa i wielką furę drzewa. Krzyczał on, klął, wymyślał i ćwiczył okrutnie małego konia, który nie mógł podołać tak wielkiemu cięża-

rowi i ustawał co chwila... Jakby mi kamień z serca spadł, gdym ujrzał, że mi nie grozi niebezpieczeństwo. Uśmiechnąłem się i siedziałem spokojnie.

— Szlachetny i miłosierny panie — odezwała się do mnie szkapa, jakżeż możesz pan siedzieć spokojnie, wówczas gdy chłop tak bije konia? Jakżeż pańskie litościwe serduszko może to znosić?

Zawstydzony, wstałem natychmiast i zbliżyłem się do chłopa.

— Czujesz!—rzekłem do niego—dlaczego tak okładasz swego konia? Nie godzi się tak bić! nie można!..

— Szczo win każe nie można?—odpowiedział zdumiony chłop—i swoją drogą dalej konia okładał.

— Nie pozwalam ci bić! nie dam bić!—zawołałem z gniewem.

— A któż cię myśli słuchać? jakie prawo masz tu wtrącać się i nie pozwalać mi robić co mi się podoba z moją chudobą?

— Jestem jednym z członków „towarzystwa opieki nad zwierzętami"—odpowiedziałem z dumą, i sądziłem, że chłop zlęknie się ogromnie i zaraz zdejmie czapkę...

— Niech cię czort zabierze razem z twojem towarzystwem! odczep się szaleńcze, do wszyst-

kich djabłów; ja nie mam czasu zabawiać się z tobą, bo muszę wcześnie dostawić drzewo do miasta!!

— Ale koń nie może uciągnąć tak ogromnej fury!

— To zaprząż się i pomóż mu ciągnąć, kiedyś taki ochotnik!

— Lepiej ty zrzuć trochę drzewa!

— Oj, oj! zapłać mi za drzewo, to zaraz je zrzucę—odpowiedział śmiejąc się chłop.

— Widzisz go jaki mądry!—rzekłem. Zapłać mu? za co ja tobie mam płacić?

— Czyś ty szalony? czy pijany? czy czort jaki?! tfu! odczep-że się raz do wszystkich djabłów, zawołał chłop z gniewem i zaczął jeszcze lepiej ćwiczyć swego konia.

— Ja jestem członkiem towarzystwa, ja nie pozwolę ci bić tego konia! Rozumiesz?!

— A ja ci gnaty poprzetrącam, waryacie! umykaj ztąd zaraz razem z twojem towarzystwem!—wrzasnął chłop i zamierzył się na mnie batem.

Przestraszony uciekłem co prędzej i usiadłem na dawnem miejscu....

ROZDZIAŁ XI.

Uczcie się tańczyć!

Przez długi czas siedziałem cicho i nie mogłem przemówić ani słowa. Dopiero, odpocząwszy i uspokoiwszy się trochę, zapytałem szkapy:

— Ha? i cóż ty powiadasz o naszem towarzystwie? co?... Jak dobrem, jak szlachetnem jest ono! jak gorliwie zajmuje się twoim losem i myśli o nim! Ono chce poprawić twoje położenie, pragnie aby na przyszłość lepiej obchodzono się z tobą! Ale, widzisz moja kochana, to w znacznym stopniu i od ciebie samej zależy. Szczęście twoje, twoja lepsza dola zależy dużo od ciebie. Jeżeli posłuchasz dobrej rady i naśladować będziesz wszystkie postępki i chód uczonych, tresowanych koni, to ci później (jeżeli Bóg pozwoli) będzie dobrze! Zamiast do grubych i nieprzyjemnych robót, będziesz używaną do lżejszych i pięknych zajęć. Kto wie, moja kochana, co z czasem może nastąpić?! Z czasem możesz jeszcze wyjść na ludzi i wyglądać zupełnie inaczej niż dziś... Ha! cóż ty na to powiadasz, szkapo?

Byłem najpewniejszy, że szkapa ucieszy się niezmiernie tą wiadomością, że aż jej zdrowia przybędzie, gdy usłyszy takie słowo; że jak to powiadają, rękami i nogami okazywać będzie wielką radość i składać dziękczynienia i chwałę naprzód Temu, przed którym jeszcze rąk nie umyłem, a potem mnie, wysłańcowi Jego, mnie, który jej tak radosne wieści przyniosłem!

Przyznaję, że mam dziwną przyjemność wówczas, gdy mi kto dziękuje za wyświadczone dobrodziejstwo. Wówczas uczuwam bowiem, że ja jestem panem, a on moim niewolnikiem; ja jestem człowiekiem szlachetnym, uszczęśliwiającym drugich, miłosiernym — a on?.. Et, co on!? Mnie, ma się rozumieć, należy wszystko... i pieniądze i przyjemności... a jemu co?

On powinien się cieszyć, że taki człowiek jak ja, zmiłował się nad nim i dał mu coś.

Przecież mógł odemnie łatwo doznać złego... Naprzykład gdyby przyszedł do mnie i chciał prosić o to, na czem jego życie zależy, a co dla mnie po prostu jest głupstwem — to ja mógłbym być wtedy akurat w złym humorze — mógłbym na niego krzywo spojrzyć, niedopuścić go do słowa i zakręcić nosem tak, że nie wiedziałby nawet którędy do drzwi trafić.

Jednem spojrzeniem mógłbym go zgnieść, jak muchę — i wszystkie jego nadzieje, za pozwoleniem

zepsuć, jak pajęczynę. Wszystko to przecież wisiało na włosku. Podczas gdy taki biedak dziękuje mi—ja czuję jak jestem wielki! zdaje mi się, że należą mi się z jego strony błogosławieństwa. On uważa mnie za wszystko, a siebie samego, ma się rozumieć, za nic. Mnie, należy się lekkie życie, bez trudu, bez trosk, bez kłopotów, bo ja jestem delikatny, szlachetny człowiek; a on... no, on to zupełnie inna kategorya. Wprawdzie obadwaj mamy krew i ciało, niemniej jednak, jest pomiędzy krwią a krwią różnica; szlachetna krew jest całkiem co innego—zresztą i natura nasza nie jest jednakowa. Ja jestem przyzwyczajony żyć dobrze, z wszelkiemi przyjemnościami, i gdybym nie miał na czas szklanki kawy, albo szklanki herbaty; albo gdyby mi nie podano do obiadu jakiej ulubionej potrawy, albo żeby mi naprzykład wypadło się schylić nie w porę, to pienił bym się w takim razie ze złości. On znowuż, przyzwyczajony jest ciągle charować, on jest człowiek gruby, bez cienia delikatniejszych uczuć... Żołądek biedaka nie przebiera („ajn oremans kiszke kłajbt gor niszt iber") pakuj w niego czy chleb, czy krzemienie wszystko jedno... byle jeść!.. Jakże równać takiego do mnie!? Podczas gdy taki prosty człowiek, taki potrzebnicki, składa mi dziękczynienia głosem drżącym, ja sobie stoję i uśmiecham się tak szczególnie, że

nie sposób tego opisać. W tym uśmiechu jest i skromność i pycha—i niby wielka powaga, niby żartobliwość, łaskawość i przekleństwo: „żeby djabeł wszedł w jego ojca!” W tym uśmiechu jest i pozwolenie, aby biedak mówił—i rozkaz, żeby znał uszanowanie! Jeżeli ja zaszczycam takiego golca spojrzeniem, to zdaje mi się, że on aż topnieje z radości; jeżeli zaś przemówię do niego słów kilka, i dam mu po dobroci naukę, naprzykład: „że trzeba pracować ciężko, trudzić się, zarabiać na grosz w pocie czoła, że nie można być próżniakiem, że należy żyć oszczędnie, z rachunkiem,” albo gdy powiem mu cokolwiek, tak sobie, bez myśli; „że trzeba robić tak i tak, pisać tak i tak, że to jest dobre a to złe i tym podobne zdania, ot tak, na wiatr—to zdaje mi się, że on aż rośnie, że po każdem mojem słowie dopowiada „Amen” i wdzięczny mi jest, za moje słodkie przemówienie, za moje mądre rady...

Ja myślę, że pod tym względem jestem podobny do mnóstwa bogaczów, do mnóstwa wielkich, miłosiernych ludzi. Miarkuję i poznaję że tak jest, z ich fizyognomii, uśmiechów, z ich błyszczących oczu, z ich rozmowy, jako też z rad i nauk, jakie ludziom ubogim udzielają.

Najlepiej jednak okazuje się to ze sposobu podawania ręki.

Na pierwszy rzut oka zdaje się: cóż to wiel-

kiego jest podanie ręki? U prostych ludzi to bardzo prosta rzecz; podaje się komuś rękę, zwyczajnie, ze wszystkiemi palcami, tak jak jest, bez żadnych mądrości. U delikatnych jednak osób, w podaniu ręki mieści się wielka mądrość, robi się to albowiem na wiele sposobów, a w każdym jest cały systemat, cały język!.. Jak tylko zostałem delikatnym człowiekiem, natychmiast zacząłem się uczyć tej sztuki i studyowałem ją przez długi, bardzo długi czas!

Jeżeli Pan Bóg da mi zdrowie i życie, to myślę wydrukować bardzo grubą książkę, w kilku tomach pod tytułem: „Chochmas ha-jad" („mądrość ręki").

W pierwszej części będzie mowa o tem jak brać? To wszakże jest bardzo łatwa rzecz, jednakowa zawsze i dla każdego równa: kiedy brać, to należy brać całą ręką, a tam gdzie się da, obydwoma rękami!

Cała trudność leży w dawaniu. Nad tem silą się komentatorowie, tu nasuwa się tysiące wątpliwości i w tem właśnie (jak dawać) spoczywa cała waga, cały główny cel książki.

Jestem pewny, że świat osiągnie z mego dzieła mnóstwo korzyści, szczególniej zaś przyda się ona tym ludziom, którzy zbogaciwszy się nagle, chcą odgrywać jakąś rolę i we wszystkich rzeczach udawać wielkich ludzi („fajne berye").

Rzeczone dzieło pożyteczne będzie także i dla tych kobietek, które nagle, już w starych latach pozbywszy się peruk[1]), zaczęły się raptem stroić modnie, kokietować, zadzierać nos do góry—i wykierowały się od jednego zamachu na wielkie damy!

Tym razem jednak nie sądzono mi było doznawać rozkoszy wielkiego dobrodzieja...

Szkapa, nietylko że nie dziękowała mi, ale najwidoczniej nie miała nawet ochoty słuchać tego co mówię.

Odwróciła się odemnie i jadła trawę, z taką miną, jakby nie wiedziała wcale że ja znajduję się blizko. To mnie trochę dotknęło. Powtórzyłem jej jeszcze raz moje poprzednie słowa, ale ona znowuż udała, że nie słyszy i nie przerywała swego zajęcia: zupełnie jakby chciała powiedzieć: „cóż mnie to obchodzi, co on plecie?!"

Taka obraza była nie do zniesienia! Jakto?! czyż mówię głupstwa, lub nonsensa?! przecież dowodzę o potrzebie cywilizacyi, wykształcenia. Aż podnosiła mnie obojętność jej na te sprawy! Zerwałem się na równe nogi, stanąłem wprost przed szkapą i wypowiedziałem jej całe kazanie!

---

[1]) Jak wiadomo, zamężne kobiety, w sferze konserwatywnej żydowskiej, golą włosy i nakrywają głowy peruką.

— Wiadomo jest każdemu, mówiłem z ogniem, każdemu wiadomo, od wielkiego do najmniejszego, że wszyscy uczeni porównywają wykształcenie, oświatę — do światła. Nauka światłem jest, mówi pismo. Ale grubość i niewykształcenie da się porównać z ciemnością. Światłemu człowiekowi jest jasno w oczach, we wszystkich dwustu czterdziestu ośmiu członkach. Wykształcenie, również jak światło, daje każdemu szczęście i życie. Człowiek wykształcony żyje bardzo szczęśliwie w bogactwie i czci. Świat daje mu wiele przyjemności i sam ma z niego przyjemność. Każdy uczonego lubi—daje mu co najpiękniejszego i najlepszego, nawet „talerzyk z nieba!" nawet ptasiego mleka! Słowem, jest mu dobrze, bardzo dobrze! Bogacze, zamożni ludzie cieszą się nim, zachwycają, oblizują palce po każdem jego słowie. Każdy radby go ściągnąć ku sobie jak kosztowny brylant—i gdy kto wydaje bal, obiad, lub zabawę, to posyła mu natychmiast zaproszenie. Rozumie się, że pieniądz łatwo topnieje, dziś jest jutro go nie ma („gełt is szmełt, hajnt is do morgon niszto") [1])—ale on (uczony) on sam jest pieniądz, sam jest złoto i srebro!! Na co mu pieniądze? na co mu ozdoby? On sam wart tyle

---

[1]) Przysłowie.

co moneta, co drogie kamienie! Jeżeli poprosi kogo o pożyczkę—otrzymuje natychmiast, dadzą mu z wielką radością. Który bogacz, który pieniężnik odmówił kiedy takiej przysługi wykształconemu człowiekowi? Który? proszę mi powiedzieć który? gdyż ja myślę że żaden! Jeżeli kto utrzymuje przeciwnie, to zapewne jest kłamcą, a jeżeli nie może być uważany za kłamcę, to prawdopodobnie zaszło jakieś nieporozumienie... Zapewne bogaty nie dobrze uczonego zrozumiał—albo też obadwaj popełnili omyłkę!.. Arystokraci, czyli inaczej mówiąc, delikatni ludzie, którzy zadzierają nosy i chodzą jak nadęci bez żadnej zasady; którzy żądają, aby każdy poważał ich, dlatego, że mają modne spodnie i błyszczące cholewy; że posiadają piękne towary; że jadają dobre obiady, w których jest więcej mięsa i szmalcu niż w obiadach zwykłych śmiertelników—ci nawet, powiadam, wyniośli ludzie, wybiegają naprzeciw wykształconych i czynią im honory.

Nawet owe damy, które patrzą z kokieteryą, robią różne grymasy — noszą na głowach góry drogich kamieni, cudzych włosów, lasy sztucznych kwiatów—te nawet damy szanują ludzi ukształconych i zaszczycają ich kilkoma słowami. Czyż nie powiada pismo „szczęśliwy mąż, który znalazł mądrość?" No, pomyśl, czy trzeba lepszego dowodu nad pismo?! Nie chcę ja się bardzo rozwo-

dzić nad tem, jak źle jest na świecie ludziom ciemnym i nie mającym wykształcenia; jak tacy ludzie są słabi i przygnębieni, jak nie mogą nawet głowy podnieść, jak cierpią... Nie! na ten raz nie mam zamiaru o tem mówić, chciałem tylko wykazać jak dobrą jest oświata—i przekonać cię, że powinnaś cieszyć się z planów, które właśnie rozwinąłem przed tobą.

Tymczasem, szkapa podczas mojej przemowy, odeszła sobie dalej trochę i zaczęła jeść trawę obojętnie, nie spojrzawszy na mnie nawet. Ja wszakże nie chciałem milczeć—a upór szkapy doprowadzał mnie do złości. Cóż to ja jestem jakiś smarkacz? mówię od rzeczy? czy co?! I chociaż zdaleka, chociaż szkapa nie chciała słuchać, mówiłem ciągle swoje, wciąż powtarzałem to samo i zakończyłem słowami proroka: „jeżeli usłuchacie rady, dobro ziemi mieć będziecie.” [1])

Wypowiedziawszy to, zaczerwieniony, zgrzany rzuciłem się pod drzewo...

---

[1]) Izajasz.

ROZDZIAŁ XII.

Żaden taniec nie zastąpi jedzenia.

Szkapa obrzydła mi już z powodu swego sprawowania się. Uważałem ją też za straconą, straconą na zawsze. Nigdy już ona nie wyjdzie na ludzi. Widocznie wrogowie jej mieli słuszność, świat nie zwaryował jeszcze... prawdopodobnie już jest ona taka nieszczęsna—ma jakąś chroniczną, nieuleczalną chorobę od Boga. I rzeczywiście, po co się z nią cackać? po co ją niańczyć? Poczekam jeszcze trochę, pomyślałem sobie, dopóki dzień się nie zrobi na dobre; a potem pójdę już sam, nie powiedziawszy jej nawet „bądź zdrowa" nie pożegnawszy jej wcale! Niech sobie robi co jej się tylko podoba! mnie już ona nic a nic nie obchodzi...

Gdy tak nadąsany usiadłem, szkapa przybliżyła się cokolwiek, popatrzyła na mnie uważnie i zapytała bardzo spokojnie:

— No—powiedz dlaczego uciekłeś przed chłopem, ledwie żywy ze strachu?

— Kto ja? — zapytałem zawstydzony — ja?! Dlaczego ja uciekłem przed nim? ja?!

— Tak—dlaczegoś ty uciekł?

— Et—odpowiedziałem, machnąwszy ręką — chłop zawsze będzie chłopem. Chciał mnie bić...

— Kogo? kogo?!—zawołała zdumiona—ciebie? i dlaczego zmilczałeś mu?

— Cóż miałem robić?

— T-a-ak?—rzekła przeciągle—nie wiedziałeś co masz robić?—a on tymczasem wciąż bił biednego konika!.. Ha? więc na wszystkich drogach, ścieżkach i uliczkach—nie stoją miłosierni panowie z towarzystwa?!

Zmieszany, nie wiedziałem co odpowiedzieć na to.

— Ta-a-ak! a to stworzenie, biedny konik, cierpi niestety!—ciągnęła szkapa dalej; widać więc, że ci, którzy byli prześladowani, są w tem położeniu aż dotąd. No... czy jest więc jaki lepszy porządek na świecie?

Na te słowa spuściłem nos na kwintę...

— Co?—mówiła wciąż—zdaje się, że „w teraźniejszych czasach nie ma już żadnych anomalij; jest przecież towarzystwo opieki nad zwierzętami.”

Nie mogłem jej patrzyć prosto w oczy.

— Kiedyś przed chwilą tak perorował wielkim głosem, kiedyś przemawiał z głębi serca, myśla-

łam sobie, że teraz zapewne nastał czas—Mesyasza. Oto wszystkie dzikie zwierzęta i bydło zaczną się obejmować nawzajem, jak bracia; oto wilk będzie za pan brat z jagnięciem, lampart stanie się przyjacielem kozła, i jeden drugiego będzie prosił o przebaczenie dawniejszych grzechów, dawniej popełnionych niedorzeczności. Co się stało, to się stało! ale od dziś zaczną się dobre czasy... ostre pazury i straszliwe zęby zostaną złożone na półkę... Wyjdzie z mody rozlew krwi, jedzenie cudzego mięsa. Nie będzie więcej silnych z powodu pochodzenia, wszyscy staną się równi sobie. Będzie można zawołać wielkim głosem: hura! hura! oto nadszedł czas Messyasza! i ja, nieszczęsna szkapa, lada chwila wolną będę od wszelkich cierpień! I trzeba, żebym w tej chwili zobaczyła jak biją oto i męczą biednego konia!! Ciekawam też bardzo, co mi na to odpowiesz?

— Ty sobie drwisz ze mnie! — odezwałem się ze złością.

— Widocznie jest w tem jakaś omyłka—żartowała dalej. To widać tylko „Purym-szpil" [1]), czysta komedya, dalibóg! Tam zasiada komitet z członków towarzystwa opieki nad zwierzętami,

[1]) Purym-szpil, widowisko, komedya odgrywana przez pauprów w dzień pamiątki Estery i Manducheusza. Bohaterem tych widowisk jest Haman.

trudzi się, rozprawia szeroko o litości, o uczuciach ludzkich—a tu tymczasem nieszczęśliwe zwierzęta znoszą udręczenia! Kto chce ładuje na biednego konia ciężar nad siły i wypędza z niego duszę. Pomagają mu tylko słowami, wzdychaniem, jęczeniem! To jest dalibóg czysty teatr! Rzeczywiście teraźniejsze czasy zasługują w zupełności na miano „czasów gadania, wzdychania i tracenia słów na próżno!"

— Ty jesteś, w dodatku do wszystkich twoich cierpień, wielką szyderczynią — dowcipnisią—lubisz wszystko ośmieszyć!—rzekłem z gniewem. Dość już jednak tych żartów, dość szyderstwa, skoro mówię z tobą poważnie, na seryo, o wykształceniu i cywilizacyi...

— Ze mną mówią na seryo?!—zawołała — ze mną mówi kto poważnie?! Głową o ścianę! Skoro mnie już tak ciągniesz za język, to muszę ci powiedzieć, że wydajesz mi się dzikim bardzo i bardzo naiwnym, ze wszystkiemi twemi liścikami i ze wszystkiem co mówisz... Powiadają, że ja powinnam się uczyć. Odpowiedzże mi przedewszystkiem, mój mędrcze, dlaczego ma się to tyczyć szczególnie mnie? Wieleż to jest na świecie naprzykład nieuczonych koni, zupełnie prostych, niewychowywanych w żadnej stadninie— a jednak im tego nikt za złe nie bierze, nie żąda żeby się uczyli. Powtóre, aczkolwiek rzeczywi-

ście nie umiem takich sztuk jak szlachetne, wykształcone rumaki, niemniej jednak zupełnie grubą i ciemną szkapą, jak sądzę, także mnie nazywać nie można; a zresztą pokaż mi, gdzie to stoi, żeby każdy koń musiał mieć koniecznie dyplom ze stadniny? Po trzecie, chociaż nie umiem tak podnosić nóg i wyrabiać sztuk takich, jak tamte konie ze stada, niemniej jednak ze mnie jest daleko więcej pożytku aniżeli z nich.

Tamte są od wszystkiego wolne — nie znają więcej nic prócz karety i polowania; ja zaś muszę pracować z trudem, nosić wszelkie ciężary. Gdzie moje życie? gdzie moje ciało? Mogą mówić o mnie co chcą, ale ja wiem dobrze, że mój trud, moja praca, wiele, bardzo wiele pożytku przyniosły. Po czwarte, powiedz mi jaki związek ma jedzenie i najniezbędniejsze potrzeby życia z oświatą? Jest-że to sprawiedliwość, żeby komu nie dać jeść, nie pozwolić mu oddychać swobodnie—dopóki nie wyuczy się różnych sztuczek? Każde stworzenie, które przychodzi na świat, przedewszystkiem jest istotą żyjącą, obdarzoną przez naturę wszystkiemi instynktami i członkami, potrzebnemi tylko dla niej samej, ażeby za ich pomocą mogła zdobywać sobie to co jest dla życia niezbędnem. Ma ona (ta istota) naprzykład gębę—ażeby jeść, nos—aby oddychać, ma ona nogi — dlatego żeby chodzić, nie po to zaś by tań-

czyć! Tańce i tym podobne różne głupstewka (szmochtelajen), to są wymyślone rzeczy, to już wszystko wynaleziono później i nazwano ogólnie „Oświatą.” Nie chcę ja się tu zagłębiać w filozoficzne wywody, czy oświata w ogóle, ze wszystkiemi jej sztukami, jest dobra, czy zła? Czy wszystko to czego uczą, można w ogóle nazwać wykształceniem? Można albowiem wymienić mnóstwo sztuk (kuntzen), które dawniej wchodziły w program — a dziś wcale nie;—i takich, których cała treść zależała, za pozwoleniem powiedziawszy, od czyjegoś upodobania lub przekonania. Można też wymienić jeszcze i takie sztuki, które zasadzały się na czyjejś zachciance, na kaprysie, na starych, zapleśniałych przesądach. Były też i takie, które od samego początku opierały się na kurzej nodze, na sile wyobraźni! Niektóre miały za podstawę fakta, to jest to co się na świecie działo, tylko że te fakta przekręcano, przedstawiano przeciwnie, na wywrót. Każdy powtarzał je na swój ład, każdy zapatrywał się na nie inaczej; przedstawiano je tylko ze strony zewnętrznej, bez idei, która tkwiła wewnątrz nich. Dziś nie należy o tem zapominać, że poważna nauka nie jest sztuką, przedstawieniem, pufem! Jeszcze raz powiadam, że nie wchodzę w głębokie wywody czy takie wykształcenie, z jego wszystkiemi sztukami, daje korzyści namacalne, czy nie? czy przynosi

ono światu szczęście, czy nieszczęście? Chcę powiedzieć tylko, że to wszystko są rzeczy drugorzędne. Stworzenie, przyszedłszy na świat, nie wie o tych sztukach nic—ale chce przedewszystkiem żyć, oddychać, poruszać się; zanim jeszcze może mieć cień myśli o cywilizacyi i jej dążeniach, o tych wszystkich, przez ludzi wymyślonych, rzeczach! Można mu niedać pięknych naszyjników, różnych cacek i zabawek, przeznaczonych dla takich, co umieją różne sztuki; ale jeść, oddychać swobodnie, słowem to czego jego ciało wymaga, bez czego żyć nie sposób — trzeba mu dać koniecznie. Ono ma na to prawo i tego odejmować mu nie możecie. Nie trzeba żyjącego stworzenia trzymać w zamknięciu, bo przez to ono zamiera powoli, przez to odbieracie mu prawo życia. Nie należy go męczyć i bić, ponieważ przez to wyrządza mu się cierpienie. Męczony, może stać się gorzkim kaleką, co znaczy, że odbieracie mu prawo być zdrowym i mieć przyjemności życia.... Skoro mnie już ciągniesz za język, a więc ci jasno i otwarcie powiem, że dziękuję za twoją litość! Nie chcę, ażebyś tak pracował nad tem, żeby mnie nie męczono, żeby mi dano to co potrzebne do podtrzymania mojej duszy—tylko w imię litości! tylko dlatego, że jest towarzystwo opieki nad zwierzętami! Ja nie chcę wcale i nie żądam nawet, ażebyś miał wyżebrać dla mnie najniezbę-

dniejsze rzeczy do życia, dla tej jedynie przyczyny, że ludzie mają i mieć mogą ze mnie pożytek! Stara to piosnka, którą słyszałam już śpiewaną przez ludzi w różnych czasach! Zazwyczaj, gdy świat zaczyna na seryo zastanawiać się nad sobą, wtenczas śpiewa piosnkę humanizmu, co znaczy: ludzkości, litości, miłosierdzia. Nieco później, gdy ludzkość powoli staje się praktyczniejszą, wtenczas śpiewa piosnkę utylitaryzmu, czyli pożyteczności, korzyści. Ale jeszcze później, gdy świat dojdzie do rozumu i sprawiedliwości, i pojmie lepiej prawa natury i jej wszystkich stworzeń, wówczas zaśpiewa ostatnią, najlepszą pieśń „prawdy i słuszności." Ja nie chcę wcale słyszyć o żadnej litości, o żadnym pożytku! ja jestem, jak wszystkie inne, żyjącem stworzeniem i posiadam jak one prawo do życia! Gdyby kto nademną się litował, znaczyłoby to tyle, że ja żyję tylko z jego łaski, że on ma prawo żyć, a ja nie! W ogóle to że ja trzymam się jakoś, że jeszcze zipię, miałbym do zawdzięczenia jemu, tylko jemu! Zaś wtedy, jeżeli będziemy się uważali za równe stworzenia, z jednakowemi potrzebami, a tamten pozwoli mi żyć dlatego tylko, że ja mu przynoszę pożytek — to znaczyć będzie, że on jest celem, zasadą, a ja żyję tylko dlatego, że mu się na coś przydam, że dla mnie samego wcale nie jestem stworzona! Ja chcę jednak żyć tak samo jak in-

ni, dlatego że ja jestem stworzona dla siebie. Rozumiesz to, mój panie adwokacie, mój miłosierny panie! Na twojem miłosierdziu, albo na tem, że ci jestem pożyteczna, opierać się nie mogę, ponieważ jutro, może ci się, do wszystkich djabłów, zatwardzić serce; albo też ja nie dostawię ci akuratnie umówionej liczby cegieł, i ty się rozgniewasz, wyrzucisz mnie z twego miłosierdzia, i zostanę całkiem zniszczona. A jeżeli będą się ze mną obchodzili według sprawiedliwości, tak samo jak się obchodzą z innym równym sobie — wtenczas będziemy rozmawiać o tamtych sztuczkach. W dobrych okolicznościach, w dostatkach, prawdopodobnie przychodzą do głowy takie rzeczy. Wtenczas będziesz mógł nawet oszczędzić sobie trudu mówienia mi kazań. Ha — co powiesz na to, mój paniczku?

— Co ja powiem? — odpowiedziałem — ja powiadam, że nic innego nie mówi przez ciebie, tylko djabeł[1]).

---

[1]) Jest to dwuznacznik — albowiem wyraz „ruach“ djąbeł, znaczy także „duch.“

ROZDZIAŁ XIII.

Nie wywołuj wilka z lasu [1]).

— Otóż jestem—odezwała się jakaś nieznana postać, wyglądająca strasznie, z okropnie najeżonemi włosami, w czerwonej czapce, ozdobionej piórami różnego rodzaju ptaków. Oto jestem — rzekła, wyskakując nagle z pomiędzy gałęzi. Stanęła naprzeciwko mnie i wytrzeszczyła swoje szare, kocie ślepie. Przestraszony i zdziwiony zostałem, zobaczywszy w lesie taki gatunek osoby. Wszystkie straszne powiastki o rozbójnikach stanęły mi nagle w pamięci. To jest na pewno rozbójnik, pomyślałem, jego zdrowy kark, jego fizyonomia i straszny wzrok, były zupełnie takie jak u okropnego rozbójnika, który już mnóstwo ludzi zarżnął. Zaraz pomyślałem sobie: oto przewróci mnie i wydobędzie wielki nóż...

Ze strachu serce mi bić zaczęło, zęby dzwoniły, i uczułem przedsmak śmierci, uczułem, że już

---

[1]) W oryginale: „nie otwieraj ust dla szatana."

mam ostrze na gardle. Zamknąłem oczy, i w cichości zacząłem odmawiać „widuj" [1]).

— Co ty tam szepczesz, młody człowieku — spytał i roześmiał się takim dziwnym śmiechem, że aż zaświdrowało mi w uszach, a w całym lesie odezwało się takie echo, jakby tysiąc starych czarownic wybuchnęło śmiechem jednocześnie.

To jest, pomyślałem sobie, bardzo dobry śmiech!! Oto, oto kończy się już moje życie—oto, oto przenoszę się już do tamtego świata, i jakby na złość, ten świat przedstawił mi się w tej chwili tak pięknym i tak dobrym, że chciałbym bodaj oddać wszystko, aby tylko pozostać przy życiu. Ach! jak szczęśliwym jest ten kto żyje na pięknym świecie, pomiędzy ludźmi! Gdyby wszyscy uczuwali to, co ja w owej chwili czułem, powiedzieliby z pewnością: precz z dumą, arystokracyą i zaszczytami! precz do wszystkich djabłów potwarze, plotki! te wszystkie puste walki, wszystkie wymysły, nienawiści i pogardy! To wszystko marność marności! głupie rzeczy! Wszyscy ludzie są braćmi, towarzyszami, wszyscy mają jednego ojca, wszystkich jeden Bóg stworzył!

Jeżeliby ktoś, jak ja na przykład, żegnał się z życiem, powiedziałby niezawodnie: „ach, dlaczegóż

---

[1]) Modlitwa przed skonaniem, spowiedź z całego życia.

ja tego pierwej nie rozumiałem!? dlaczegóż nadymałem się pychą i mówiłem na innych, że są karą bożą, żebrakami przybyłymi z obczyzny! Dlaczegóż wykrzykiwałem na nich, iż nie wyznają mojej religii, że są szachraje, źli, że nie mają pojęcia o honorze. Pfe! ja to byłem zły, przewrotny, pusty, kłamca, pochlebca, plotkarz, oskarżyciel, potwarca słowem i piórem. Co ja miałem przeciwko tym biednym, bezbronnym, poniżonym, przybitym tułaczom? Czyż mają oni mało własnych cierpień, własnych trosk i nieszczęść z różnej strony, mało kłopotów w każdej chwili—a jeszcze ja napadałem na nich! I za co? gwałtu, za co?...

Wszystko przypomniało mi się wtenczas gdy nóż miałem na gardle, i wtenczas czułem naprawdę, jak to źle jest, że ludzie gryzą się i szarpią tutaj, na świecie. Gdyby to było możliwe, chciałbym wszystkich uściskać, ucałować, i prosić o przebaczenie. Kiedy już mi przyszło na to, ażeby świat opuścić, chciałbym spojrzyć na nich raz jeszcze.

Podniosłem do połowy powiekę, i spojrzałem jakby przez mgłę. Wszystko zmięszało się przedemną; szło głową na dół, nogami do góry, błyskawice miałem przed oczami, pioruny w uszach, i wielkie krople potu zalewały mi twarz.

Było mi zimno i gorąco, ogniste koła i pla-

my, rozmaitych kolorów i postaci, kręciły się przedemną i unosiły, uciekały, djabli wiedzą dokąd. Pomiędzy niemi stał jakiś wielki czarny pies, który co chwila przybierał inne kształty, błyskał oczami, wyszczerzał zęby, robił różne miny, aż dopóki, po różnych przemianach, nie wziął na siebie postaci strasznego i dzikiego człowieka, którym był mój nieznajomy.

— Ha! ha! ty drżysz!—żartował ze mnie. O, tak, tak, mój człowieczku, ja mam przyjemność gdy ty drżysz i pocisz się ze strachu...

Spojrzałem na niego, akurat, jak mysz na kota, który bawi się z nią, zanim ją rozszarpie i połknie.

— No, skoro drżysz — rzekł dalej—wiedzże przynajmniej dlaczego. Ja jestem ten, który otworzył drogę do nowego świata, ażeby stare było zawsze nowem; ażeby przezemnie transportowali się ludzie na tamten świat, na to by inni mogli mieć istnienie. Ja jestem ten, który moją siłę przeciwstawiam innej sile, z którą walczę, i przez to powstaje na świecie wszelka nowość. Ja jestem znany każdemu, i tyś mnie przed chwilą nazwał mojem własnem imieniem: Ja jestem król djabłów, ja jestem szatan; jestem „aszmodaj!" (asmodeusz).

— Przepraszam pana, za pozwoleniem — odezwałem się z wielkiem uszanowaniem — przepra-

szam, że chcę o coś zapytać. Według tego, jak ja, prosty człowieczek, zrozumiałem twoje poprzednie słowa, to ty myślisz tak: ty jesteś stroną przeciwną tej siły, która nieustannie stara się o podtrzymanie na świecie najmniejszego ziareczka piasku (atomu); ty starasz się każdą rzecz zniweczyć, wszystko co tamta siła zbudowała zburzyć; a to znowuż co ty zburzysz, tamta siła stara się napowrót odbudować. Tamten jest Stwórcą, a ty, aszmodaj, niszczycielem wszystkiego. Na tem stoi świat i wszystkie stworzenia, i tym sposobem wyrabia się ciągle nowe życie. Jeżeli jest rzeczywiście tak, jak ja ciebie zrozumiałem, to nie możesz być tak złym, jakim się wydajesz.

— Otóż to właśnie chciałem ci powiedzieć, że ja, aszmodaj, nie tak psuję świat, jak wy, ludzie. Z mojej złości nie wynika tyle cierpień, ile z waszej dobroci. Ja nazywam się według was „*złem*," szatanem; jeżeli się cokolwiek zrobi, powstaje krzyk, płacz! i każdy tylko na mnie narzeka. Wy jednak, ludzie, aczkolwiek zarzynacie odrazu pół świata (wojna), męczycie się nawzajem, sprawiacie sobie cierpienia — nazywacie się dobrymi i nabożnymi! Trzeba was za to pogłaskać po gębie, bo wy to wszystko robicie z dobroci, z wielkiej cnoty!.. Wy macie się za mędrców, dostrzegacie błędy w naturze, w porządku świata, mówicie

pomiędzy sobą, że wy, z waszym rozumem, z waszą dobrocią, moglibyście stworzyć świat prześliczny! (*antik*). Gdy jednak dostaliście w swoje ręce gotowy świat, w całości, tak jak jest, toście go strasznie zepsuli, we wszystkiem zaplątali, wszędzie porobili szkody! Zupełnie to tak wygląda, jak gdyby kosztowny zegarek dostał się do rąk małego dziecka. Ja, taki jak jestem, jestem sobą; w całej naturze panuje prawo zawsze i dla wszystkich równe; nie ma tam żadnej arystokracyi, żadnych różnic, protekcyj, nie masz w niej złego, ani dobrego, prześladowania ani miłosierdzia, wszystko rusza się i idzie, według odwiecznych, sprawiedliwych praw. Wy jednak, dobrzy ludzie, nie możecie cierpieć, nie chcecie znać takiego porządku. Podzieliliście się na tysiączne narody, wyznania, partye, klasy, stany, cechy i tym podobne, a każdy z tych, rozpada się znowu na mnóstwo poddziałów; dla każdego istnieją inne porządki, wszędzie różnice—różnice!

— Dlaczego jednak, chciałbym cię zapytać, powiadasz mi to wszystko?

— He! he! dlaczego?! Bądź pewny, że nie mówię tak sobie, na wiatr, jak to się zdarza naprzykład u was, ludzi, co gdy się dwóch zejdzie, zaczynają pleść różne rzeczy o świecie, ażeby pokazać swoją mądrość, swoją filozofię, i mięszają „strych z półką...” (groch z kapustą). To com powiedział,

tyczy się twojej poprzedniej rozmowy, którąś miał niedawno o miłosierdziu i o waszem towarzystwie. Chciałem ci albowiem wykazać, zkąd się to wszystko u was wzięło. Przyczyna jest bardzo prosta. Dlatego mówicie ciągle między sobą o miłosierdziu i dlatego zakładacie towarzystwa filantropijne, ponieważ pomiędzy wami, ludźmi, istnieje nieludzkość, prześladowanie i podłość. Gdyby zaś tylko prawda i sprawiedliwość panowała na świecie, oszczędzilibyście sobie zakosztowania smaku miłosierdzia i nie byłoby między wami tylu dobrodziejów, filantropów i tylu towarzystw. Ja tu mówię, czy mnie rozumiesz, o waszej dobroci, o waszej serdeczności mówię— czyś mnie dobrze zrozumiał?

— Et.... be—be—bąknąłem, niewiedząc co odpowiedzieć.

— Widzisz—rzekł djabeł — kiedy wy, ludzie, beczycie tylko: „be—be" — to jest daleko lepiej, niż gdybyście mówili. Zdarza się niejednokrotnie, (trzeba to przyznać), że mówicie dosyć rozsądnie, naprzykład: „masz tutaj grosz i daj mi bułkę, masz tu tyle i tyle, a zrób mi to i to".... W ogóle o kwestyach, które was samych dotyczą, myśli i zamiary wasze wyrażacie dosyć zrozumiale; gdy jednak zdarzy wam się mówić i pisać o rzeczach ogólnych, wtenczas jesteście, do wszystkich djabłów, czyści waryaci! kompletne bydło! Plecie-

cie, za pozwoleniem, nie do rzeczy, mięszacie tysiące kłamstw, tysiące nierozsądnych cytat i dowcipów, że ni przypiął, ni przyłatał—oszukujecie jeden drugiego, drapiecie się na gładką ścianę („ir drapet sich ojf di glajche want"). Kręcicie, plączecie się, że nie można nic z tego wydobyć, że niepodobna zrozumieć co chcecie? Stać tylko i podziwiać trzeba, jak ludzie piszą, mówią, krzyczą, a nie ma czego słuchać; jak mając dar mowy, mając język, nie mogą się porozumieć i nie pojmują jeden drugiego, jeszcze gorzej aniżeli zwierzęta!

— Ale do czego—do czego, pytam się, do czego cała ta mowa?!

— Jeszcze raz do czego!?—zawołał. Rozumie się, że nie mówię tak tylko, byle żartować. To co mówię dotyczy twoich korespondencyj z „towarzystwem" i twojej niedawnej rozmowy ze szkapą. Ja powiadam, że to „be—be" — któreś wybeczał niedawno, jak za pozwoleniem osioł, jest naprawdę lepsze i mądrzejsze od wszystkich twoich kazań. Zastanów się i pomyśl, czy nie jesteś czysty waryat?! Przed tobą stoi zmordowana, zgłodniała szkapa, której do życia potrzeba chociaż cokolwiek odpoczynku, miarki owsa, wiązki siana, a ty chcesz jej pokazywać litery w książce[1]),

[1]) Dwuznacznik niepodobny do przetłomacze-

i dowodzisz, jak to dobrze i pięknie jest wyuczyć się niektórych sztuk. Może myślisz, że ty jeden tylko paplesz w podobny sposób? Nie—pofatyguj-no się ze mną, a pokażę ci mnóstwo ludzi, którzy biednym i przygnębionym mówią takie same kazania jak twoje. Moje interesa prowadzą mnie bardzo często między ludzi — bo trzeba ci wiedzieć, że szatan, aszmodaj, jest zawsze bardzo zajęty—ja muszę składać wizyty, mam znajomości z wszystkimi wielkimi ludźmi, widzę co oni robią, nad czem pracują, słyszę wszystkie ich rozmowy... Weźmy naprzykład, z tego gatunku: Jedni krzyczą gwałtu na nauczycieli: (mełamedów) dokądże będziemy oddawali dzieci nasze pod opiekę tych głąbów („kaczenes)", którzy ze swoich uczniów robią kaleki do niczego niezdatne. Inni podnoszą larum: dokądże będziemy żenili dzieci tak wcześnie? dokądże będą „szadchony" (swaty) łączyli z sobą dwa stworzenia nieznające się i niewiedzące o sobie, aż dopiero po ślubie? Trzeci krzyczy na „batłonów" [2]), którzy rozrastają się jak pokrzywa i wprowadzają

---

nia; szkapa potrzebuje wiązki siana, po żydowsku „a binteł *hej*," ty zaś chcesz jej pokazać „*hej* in sidur," (literę *hej* w modlitewniku).

[2]) „Batłon" tak nazywają żydów przepędzających całe dnie w domu modlitwy, w tak zwanej „szkole."

w błąd ludzi swemi głupstwami, swoją fałszywą metodą („krumegang”). Czwarty znowu narzeka na tych, co całe życie przepędzają nad talmudem. Dokądżeż będą się zajmowali tem tylko wyłącznie, zapominając o wszystkich innych, najniezbędniejszych rzeczach? Piąty wrzeszczy: dokądże będą się rozmnażali pomiędzy nami rozmaici dobrodzieje, „gospodarze taksy,” zajmujący się interesami miasta i tym podobni?

Krzyczą, paplą, że już jest czas odrzucić precz to wszystko i stać się mądrzejszymi, oświeconymi, pożytecznymi ludźmi. Co jednak z tego krzyczenia wynika?!

Wszystko pozostaje po dawnemu, jak przedtem i nie widać z waszego gadania żadnego rezultatu. Dlaczego tak jest? Oto dlatego, że na świecie panuje jedno prawo dla wszystkich stworzeń; prawo dla wszystkich ludzi jednakowe i równe—i nikt a nikt nie jest w stanie go złamać. Nie pomogą tu żadne krzyki, żadne mowy, kazania i tym podobne środki. To prawo, mocniejsze nad wszystkie moce, upartsze nad wszelkie upory, w razie stawiania mu przeszkód, znajdzie zawsze tysiączne drogi, tysiączne środki, aby się utrzymać. Mam tu na myśli, to powszechnie znane, to zasadnicze prawo, że wszyscy chcą jeść, że każdy pragnie podtrzymać swoje życie. Cóż to są ci nauczyciele (mełamedzi)? Jest to wśród

was, pewna ilość, pewna znaczna ilość ludzi, którzy chcą jeść, a pragnienia tego nie mogą zadowolnić innym sposobem, jak tylko tym, aby zabrać do „chederu" (szkółki) wasze dzieci. Tacy głodni, potrzebujący ludzie, wynajdą wszystkie drogi, użyją wszelkich sposobów, aby wasze dzieci dostały się koniecznie w ich ręce! Przeciwko wam pracuje siła, przeciwko wam walczy prawo natury! Garstka ludzi z ich porządkami, z ich naukami, nie może tej siły zwyciężyć. To samo zupełnie z wczesnemi małżeństwami. Krzyczcie na to wiele wam się tylko podoba, wszystko będzie napróżno! Jest bo znowuż pewna gromadka ludzi, którzy nie mogą znaleźć środków do życia, jak tylko ze swatania, z kojarzenia stadeł małżeńskich. Ci ludzie dołożą wszelkich starań, wytężą całe siły, aby utrzymać zły obyczaj, i pożenić dzieci wasze. I musicie prowadzić syny swe i córki w młodych latach, przedwcześnie pod baldachim („chupe") [1]), gdyż o to stara się, nad tem pracuje cała gromada swatów. Ci muszą pozostać swatami, gdyż tylko tym sposobem mogą żyć. Tak to się ma rzecz z temi głupstwami! Śmiejcie się panowie kaznodzieje, śmiejcie się zuchy, ile wam się podoba. Napróżno! A czemże

---

1) Ślub u żydów odbywa się zazwyczaj pod baldachimem, ten nazywa się „chupe."

są owi „batłoni,” zajmujący się głupstwami? Są to ludzie, znaczna ilość ludzi, którzy nie mogą żyć inaczej, nie mogą istnieć. Oni to biorą się na wszystkie sposoby, wszelkie sztuczki i ceremonie, ażeby podtrzymać zabobony. Wy zmuszeni jesteście trwać w tych zabobonach, ponieważ pomiędzy wami znajduje się gromada głupców, którzy z tego źródła mają kawałek chleba i jakie takie życie. To samo się tyczy tych, którzy nieustannie czytają „Gemarę” (Talmud). Krzyczcie, mówcie, ile wam tylko serce dyktuje, a wszystko nadaremnie! Wszakże jest także znaczna liczba ludzi, którzy ztąd tylko mają swoje utrzymanie, ludzi, którzy powiadają, tak jak jest w znanej piosnce, „Tejre iz a beste schejre” [2]) (nauka jest najlepszy towar) i używają wszelkich a wszelkich środków, ażeby podtrzymać ten geszeft, i jak najlepiej ów „towar” przehandlować. U was, setki tysięcy młodzieży, (jeszywo — bachurim) musi gnić w jeszybotach[3]) dlatego, że

---

[2]) Właściwie „Tejre” znaczy „pięcioksiąg Mojżesza,” prawo. Wyraz ten jednak, jak w danym razie oznacza naukę. „Tejre iz a beste schejre” to ulubione, na każdym kroku powtarzane, przysłowie konserwatywnych żydów, którzy znajomość „pisma” przekładają nad wszelkie umiejętności, a nawet nad bogactwo.

[3]) „Jeszyboth” wyższa szkoła wyznaniowa.

istnieje tysiące gabajów, zbieraczy składek na rzecz jeszybotów, i tysiące innych osób tego rodzaju; te zaś osoby muszą się oddawać takim zajęciom, ażeby mieć za co zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby życia. Zupełnie to samo jest z waszymi dobrodziejami, z waszymi opiekunami. Krzyczcie, krzyczcie wiele się wam tylko podoba, ale to nic a nic nie pomoże! Czem są albowiem owi „dobroczyńcy miejscy", kłopoczący się o was i o waszą przyszłość? Jest pomiędzy wami mnóstwo ludzi, którzy nie mieliby za co przeżyć jednego dnia i poumieraliby z głodu, gdyby nie trudzili się ze wszystkich sił nad tem, aby wyświadczać wam rozmaite dobrodziejstwa, podtrzymywać waszą „taksę" i wymyslać nieustannie nowe opłaty: to od mąki, to od soli, od smalcu, od świec i tym podobnych rzeczy; — kłopotać się o zbierających składki na Palestynę, o pochowanie tutejszych ubogich ludzi, o nauczanie sierot w „talmud-thore," i niedopuszczać wszelkich usiłowań ku zmianom; starać się o to, ażeby żydzi pozostawali zawsze takimi jak dawniej. Oni muszą się kłopotać, aby wam świadczyć dobrodziejstwa, a wy, z waszej strony, musicie te mniemane dobrodziejstwa przyjmować. Przeciwko wam, mówię to raz jeszcze, pracują siły; przeciwko wam powstaje prawo natury, w osobach tych wszystkich ludzi, którzy szukają jedynie poży-

wienia, i wynajdują sposoby podtrzymania swojej egzystencyi, swojego życia. Żywicie się i żyjecie jedni z drugich, zjadacie się i pożeracie nawzajem! Gdyby wam jednak dano żyć zupełnie swobodnie, to takich rzeczy pomiędzy wami całkiem by nie było. Gdyby przed wami otworzono świat, wszystko to ustałoby samo przez się, i w jednej chwili, bylibyście oswobodzeni od wszelkich cierpień; lecz dopóki ja, aszmodaj, jestem tutaj, nigdy nie dopuszczę do tego! (nigdy na to nie pozwolę). Będę robił „hukes pukes,” najrozmaitsze sztuczki, ażeby tu tylko krzyczano, prawiono oracye, a w rzeczywistości nie robiono nic; ażeby ciągle was miano na języku i ażeby nigdy nie można było dojść z wami do ładu! Nie ma dla was żadnej innej drogi, nie ma dla was innego środka do życia! Zjadajcie się, pożerajcie nawzajem, łykajcie się jak ryby, jedna drugą, gryźcie się, szarpcie, do wszystkich djabłów!! (cy ałde szwarce joren).

— Ach!—westchnąłem ciężko, chwytając się za głowę — cóż ty masz do nas? cośmy ci złego uczynili?

— Co ja mam do was!?—odpowiedział, strasznie zgrzytając zębami. Dosyć nadokuczaliście mi...

— Co mówisz? myśmy tobie dokuczali?

— Wasz król Salomon — odpowiedział djabeł ze złością—wasz król Salomon złapał mnie, asz-

modaja, i trzymał zakutego w łańcuchach [1]). Dosyć wycierpiałem od niego.

— Gwałt! — zawołałem — ale cóż my jesteśmy winni? Dlaczego my odpowiadać mamy za to, co się stało przed kilkoma tysiącami lat... Gwałt! co chcesz? — cośmy ci zrobili? co ci winni jesteśmy?

— Król Salomon był żydem, on do was należał! — krzyknął rozzłoszczony straszliwie djabeł, i uderzył biedną szkapę, która przez ten cały czas stała nieszczęsna w cierpieniu i okropnie drżała. Wy, wy jesteście winni! Na was leży moje przekleństwo:

„Miejcie oczy, ale bądźcie ślepi; to jest nie widźcie tego, co wam być może potrzebne!

„Słuchajcie każdego, byle nie waszych prawdziwych przyjaciół!

---

[1]) Jest legenda w Talmudzie, że król Salomon pochwycił djabła, okuł go w łańcuchy i trzymał w niewoli. Dopiero od śmierci Salomona, szatan zdołał się wyrwać z więzienia i zaczął dokuczać ludziom na nowo. Za panowania Salomona żydom było bardzo dobrze; państwo ich stało u szczytu potęgi, świątynia budziła podziw ówczesnego świata; legenda więc maluje obrazowo ówczesne położenie żydów, mówiąc, że szatan znajdował się wtedy w niewoli...

Co autor „Szkapy" miał właściwie na myśli, przytaczając powyższe podanie — łatwo się czytelnicy domyślą.

„Mówcie o wszystkich rzeczach postronnych ale skoro zaczniecie mówić o sobie, niech wam odjęty będzie język!

„Znajdźcie wszystko, ale nie znajdźcie nigdy prawdziwej drogi do szczęścia!

„Niech wasi „dobroczyńcy" rosną i rozmnażają się jak pchły w lecie, niech wam świadczą tyle dobrodziejstw, aż dostaniecie od nich choroby, i zabraknie wam sił, aby je przyjmować!

„Niech stowarzyszenia wasze rosną tak obficie jak pokrzywa, a książki kasowe tych stowarzyszeń niech znikną z oblicza ziemi, ażeby nawet pamięć po nich nie została!

„Niech wasze „taksy" istnieją wiecznie, niech się nigdy nie skończą! Chudnijcie, usychajcie, płaćcie dobre pieniądze i gryźcie same kości!

„Jeżeli ktoś ujmie się za wami, napadnijcie na niego jak szaleńcy, i zarzućcie go kamieniami!

„Niech wasi bogacze sieją pieniądze pełnemi garściami; niech dają na wszystkie strony, ale nie temu co trzeba, i nie na to co trzeba. Tam, gdzie to jest konieczne, niech nie dadzą ani grosza!

„Bądźcie zawsze „synami miłosiernych," tam, gdzie miłosierdzie wasze już na nic się nie zda; wspierajcie takich, którzy już poszli z torbami, lub stoją jedną nogą w grobie; takich, od których życie ucieka, — lecz gdy was kto poprosi o środki

dla uczciwego podtrzymania się, to prześladujcie go, obalcie i zdepczcie nogami!

„Przywdziejcie długie atłasowe kapoty, i wpakujcie się w nich w błoto; niech pomiędzy wami nawet ostatni „kapcan" [1]) chętniej chodzi w łachmanach jedwabnych, aniżeli w całem ubraniu płóciennem!

„O rzeczy tego świata niech się każdy z was stara dla siebie oddzielnie, ale co się tyczy przyszłego świata (religii), bądźcie wszyscy najbardziej solidarni, gdyż ztąd obcy ludzie robić wam będą zarzut solidarności ogólnej, i skoro jeden z was co zgrzeszy, winę przypiszą wszystkim!

„Jeżeli znajdą się pisarze, którzy bronić was będą przed narodami świata, to niech wam ten podoba się najlepiej, który nie zna języka tych narodów!

„Niech przed najmniejszym z narodów świata największy z waszych będzie uniżonym, i niech ma sobie za honor, że dopuszczony jest do jego towarzystwa; przeciwnie zaś, wśród was samych, niech najmniejszy przed największym nie zna żadnego uszanowania!

„Niech każdy nicpoń ma się za bardzo wielką osobę; każdy głupiec za nadzwyczajnie uczonego;

---

[1]) Biedak.

każdy gbur za szlachetnego, osioł za najuczeńszego, pustak za nabożnego!

„Powinniście się gryźć, rwać, pożerać jeden drugiego, do wszystkich djabłów!! Dobrze wam tak! słusznie wam tak!—ja się z tego cieszę, ja się zaśmiewam z radości!!!"

I wybuchnął takim śmiechem, że aż się nim napełnił las cały. Gdziekolwiek się obejrzałem, gdziekolwiek obróciłem się, wszędzie słyszałem śmiechy; z każdej gałązki, z pod każdego listka wychylały się główki małych djabłów, a każda się śmiała.

Nie wesoło, bardzo nie wesoło na sercu!...

ROZDZIAŁ XIV[1]).

Prześliczny świat, dalibóg!

Aszmodaj nie dał mi długo myśleć; zaledwie przyszedłem do siebie, pochwycił mnie, i uniósł wysoko, wysoko w powietrze. Niósł mnie jak wiatr, leciał bardzo szybko.

Za nami pędziły całe stada djabłów, z których część siedziała na ogromnych nietoperzach, zwanych wampirami; część na smokach, (potwornych wężach, zaopatrzonych w skrzydła), inni djabli jechali na sowach, a jeszcze innina obrzydliwych jaszczurkach. Pomiędzy nimi kręciły się i wierciły czarownice, wróżki, zamawiacze z wszystkich krajów, z rusałkami, staremi wiedźmami, cygankami... Te wznosiły się również wysoko, siedząc

---

[1]) Rozdział ten napisany pod świeżem wrażeniem wypadków anti-semickich w Rumunii, nie ma tego spokojnego charakteru, którym się cały utwór odznacza. Z upoważnienia autora opuściłem też niektóre ustępy.

na miotłach, drapakach, warząchwiach, na kosiorach i łopatach.

Słaba szkapa również leciała do góry, a na niej, jak pchły, posiadały małe djabełki.

Niedobre towarzystwo! Strach i obawa przejmowały mnie, gdym spojrzał na to przerażające zgromadzenie, które przez całą drogę kręciło się w kółko, jak kurz, kiedy nim wiatr zamiecie; tańczyło, świstało, piszczało, wyło, nie odpoczywając ani sekundy...

Aszmodaj trzymał mnie w ręku, jak małego wróbelka, delikatnie, żeby mnie nie zgnieść, bawił się ze mną jak z dzieckiem, figlował, i przyśpiewywał mi „hucuniu mucuniu."

— Srulik—odezwał się do mnie, gdyśmy lecieli wysoko, spojrzyj-no mój kochanku, z łaski swojej na dół, zobaczysz i usłyszysz coś zajmującego. Patrz-no!

— Ja widzę—odpowiedziałem, spoglądając na dół—ja widzę jakiś straszny tuman, w którym zaledwie dostrzegam jakiś rodzaj stworzeń pełzających, które szarpią się, przepychają, otwierają gęby i krzyczą gorzkim głosem. Zapewne musi to być piekło, w którem potępieńcy są męczeni i doznają straszliwych cierpień. Bądź co bądź, nie widzę i nie słyszę wszystkiego dokładnie.

— Zaraz, zaraz, mój Sruliku, będziesz wszystko widział i słyszał—odrzekł aszmodaj, wsadza-

jąc mi na nos jakieś okulary w rodzaju lornetki („szpektiwes”) i wkładając mi w ucho trąbkę. — No teraz widzisz co?

— Ziemia! ziemia! — wykrzyknąłem, ale nie takim wesołym głosem, jak Kolumb; kiedy płynąc po morzu, dostrzegł nagle ląd Ameryki, ale takim głosem jak ktoś, co ujrzy nagle jakąś straszliwą rzecz. Poznałem naszą ziemię z jej wioskami, miastami, i wszystkiemi rodzajami ludzi, a to, com na niej dostrzegł i usłyszał, przejęło mnie dreszczem trwogi.

— Nie drżyj, nie drżyj, Sruliku—odezwał się aszmodaj z uśmiechem—nie szkodzi, trzymam cię dobrze — nie upadniesz. Spojrzyj oto lepiej, i przyjrzyj się akuratnie, co się dzieje w mieście Izmaił, ponad którem przelatujemy obecnie.

— Widzę—odpowiedziałem z bólem serca— widzę, jak gromada ludzi, niby szarańcza, napada na domy; wybija kamieniami okna, rozwala siekierami drzwi, wywłóczy ztamtąd ludzi, z dzikością drapieżnych zwierząt. Widzę jak męczą ojców, matki i dzieci, starych i młodych, bez miłosierdzia. Widzę, jak młodej matce porywa ktoś z rąk jej brylantowe dziecko—chwyta je za nóżki i uderza główką o kamień, aż mózg wyskakuje daleko! Widzę jak krew płynie po ulicach, jak się z niej tworzą kałuże, z których podnosi się wysoko wilgotna gorąca para, i wzbija się do

chmur, ażeby ztamtąd spaść w kroplach deszczu na pola i piękne winnice, z których wino kiedyś orzeźwiać i rozweselać będzie serca ludzkie. Widzę jak rabują, palą i niszczą wszystko co wpadnie pod rękę. Słyszę krzyk, błagania i płacz nieszczęśliwych, westchnienia, jęki i przedśmiertne rzężenie mordowanych ofiar, z których już dusza uchodzi. Słyszę śmiechy i żarty dzikich rozbójników.... Ale dosyć już, dosyć — nie mogę i nie chcę słyszeć ani widzieć więcej!

— Ha! ha! ha!—odezwał się ze śmiechem Aszmodaj—ha! ha! otóż to są twoi dobrzy i nabożni ludzie! ha! ha! oni mordują się i zarzynają, a mnie zowią Aszmodajem—szatanem!! Ten tłum, któryś widział, tłum rabujący, uzbrojony w siekiery i noże, to są rumunowie; mordowani zaś, — to twoi nieszczęśliwi bracia!

— Gwałt! gwałt!—zawołałem, chwytając się za głowę—co oni mają do nich? co oni chcą od tych moich biednych, nieszczęśliwych, słabych braci?..

— Chcesz wiedzieć co? — odrzekł Aszmodaj bardzo spokojnie i z zimną krwią, sza! — jeżeli koniecznie chcesz, ja ci w krótkości opowiem: Ktoś, (może nawet z nich), ukradł jakieś kosztowności z Soboru; w tłumie, nienawidzącym twoich braci za ich przywiązanie do grosza, puszczono pogłoskę, że kradzież popełnili żydzi. Więcej

nie było potrzeba! Motłoch napadł zaraz na twoich braciszków i zrobił z niemi dobry obrachunek!!

— No, a gdzież jest rząd?—zapytałem mocno zdziwiony, dlaczego on milczy? dlaczego pozwala na takie bezprawia?

— Władza udaje, że o niczem nie wie—odpowiedział djabeł z uśmiechem. Później jak już łobuzy zrobią wszystko co mieli zrobić, wtenczas w pięknych, zaokrąglonych frazesach, władza ogłosi, że o niczem nie wiedziała z początku; każe zaaresztować kilka osób po to, żeby je zaraz puścić. Hi! hi! hi! dobrze się tu dzieje twoim braciszkom, nie szkodzi! nie szkodzi! znam ja dobrze rząd rumuński! Pan minister Kostaforu obrabia porządnie moje interesa, on to wszystko wykręci gładko, jak na talerzu!

— Nieś mnie, djable, dalej, jak najdalej ztąd, zacząłem prosić Aszmodaja—nieś mnie, gdzie tylko chcesz, byleśmy tu nie zostali.

Djabeł frunął dalej, a za nim całe stado złych duchów, które już nie wydawały mi się ani tak dzikimi, ani tak strasznymi jak przedtem. Jakoś pomiędzy nimi czułem się swobodniejszym i bardziej zadomowionym niż między ludźmi. Przelecieliśmy ponad Galaczem, Wilkowem i innemi miastami, w których powtarzały się również podobnie straszne sceny. Bili, mordowali z wiel-

kiem tyrańskiem, i później całą winę składali na pokrzywdzonych!

Przelatując ponad Bukowiną, ujrzałem wielkie chmury dymu, unoszące się ku niebu—i ogniste języki pożaru; łuna zabarwiała niebo kolorem krwi. Spojrzałem na dół, i oczom moim przedstawił się straszliwy pożar. Miasto zostało podpalone z czterech stron, zewsząd słychać krzyki i jęki rozpaczy...

— To się pali miasto M.—rzekł do mnie Aszmodaj. W tem mieście, po większej części, mieszkali twoi bracia, płacili akuratnie to, co się od nich należało i żyli bardzo szczęśliwie, Poborca podatków tego miasta, krwawy wróg twoich braci, rozgniewał się na nich strasznie, że nie chcieli mu złożyć pewnej znacznej sumy pieniężnej, jakiej się od nich domagał. W skutek tego, z wielkiej złości, kazał podpalić miasto na wszystkie cztery strony. Teraz pali się właśnie najlepiej, bardzo jasno! Twoi braciszkowie latają na wszystkie strony jak zatrute myszy; z ich domów, z ich całych majątków pozostał tylko popiół, gdyż podczas pożaru złodzieje także nie próżnowali i rabowali wiele im się chciało. Spojrzyj-no—tam stoi ów poborca podatków, pełen radości,—i patrzy na ogień, akurat jak cesarz Neron, który kazał podpalić całą swoją stolicę Rzym, a sam, stojąc na ganku, cieszył się z tej przeraża-

jącej illuminacyi. Doprawdy, ten Neron miał wielką racyę, ponieważ chciał, żeby ze wszystkich ludzi całego świata zrobił się tylko jeden człowiek, któremu by on swoim mieczem uciął głowę.

— Gwałtu! co się dzieje na świecie!—zawołałem...—nieś mnie djable, nieś, aby jak najdalej ztąd!

Djabeł unosił mnie bardzo szybko i przez całą drogę nie przemówił do mnie ani słowa. Obadwaj byliśmy bardzo zadumani, ale każdy z nas o czem innem myślał. Kiedyśmy przelatywali po nad wielkiem miastem Jassy, wskazał mi jakąś ubogą izdebkę i poprosił, abym spojrzał przez okno i zobaczył, co się tam dzieje.

— Zmiłuj się—błagałem go ze łzami—nie każ mi już patrzyć więcej na wielkie cierpienia, jakich doznają biedni ludzie w tym kraju, nieś mnie dalej, dokąd chcesz, aby dalej!..

— Spojrzyj choć raz, Sruliku, jeden raz tylko, zanim odlecimy ztąd. Spojrzyj, proszę cię, i powiedz co tam widzisz?

— Widzę człowieka cierpiącego, ranionego w lewą nogę, leży on na śmiertelnej pościeli i jęczy przeraźliwie z bólu. Otacza go gromadka małych dzieci, chudych, bladych, zgłodniałych. Dzieci te płaczą krwawemi łzami. W izbie znać straszną biedę, gorzką nędzę; jest tam pustka, ciemność, niema ani śladu sprzętów; w kącie

dwoje niemowląt, prawie nagich, które piszczą z głodu!...

— Ten chory—odezwał się Aszmodaj – jestto nieszczęśliwy biedak, który w tej chwili właśnie traci życie i zostawia po sobie biedne, zgłodniałe dzieci. Nie szkodzi! mogą one płakać, wylewać rzeki łez—biedny ich ojciec był jedynym ich żywicielem; on, bywało, zamęczał się, aby im dostarczyć kawałek chleba, aby podtrzymać w nich duszę. Po jego śmierci zostaną one jak na wodzie—i umrą z głodu; to jednak coś widział, jest dopiero połową obrazu—popatrz-no dalej, a będziesz miał wyobrażenie o całości.

To mówiąc, djabeł przeniósł mnie szybko na inną ulicę i zatrzymał się przed bardzo wielkim i bogatym domem, do którego wnętrza kazał mi zajrzyć.

— Widzę - rzekłem—w bogato umeblowanej sali, ozdobionej złotem i srebrem, siedzi na fotelu jakiś człowiek, już nie pierwszej młodości, a przy nim, w niedbałej pozycyi, młodzieniec w kostyumie myśliwskim. Otacza ich całe towarzystwo młodych ludzi; śmieją się, piją wino, rozmawiają i jest im bardzo wesoło. Młody człowiek opowiada kompanii historyjkę dotyczącą polowania, opowiada, iż postrzelił osobliwszą zwierzynę, na dwóch nogach! Wszyscy śmieją się i biją brawo—

stary jegomość cieszy się nadzwyczajnie, popija wino i z lubością spogląda na synka.

— Stary—rzekł do mnie Aszmodaj — jestto niejaki Bohdan, bardzo bogaty obywatel. Do jego domu przychodził, bywało, często ów biedny ojciec, obarczony mnóstwem dzieci i przynosił naftę na sprzedaż. Pewnego razu, kiedy jak zwykle, sprzedał naftę i już chciał odchodzić, aby powrócić do swoich dzieci, spotkał go młody Bohdan, który właśnie powracał z polowania, ze strzelbą w ręku. Zobaczywszy biedaka, roześmiał się i rzekł: Zobaczmy, czy też ja potrafię upolować żyda?! To powiedziawszy, zmierzył i wystrzelił. Raniony upadł ze strasznym krzykiem, z krzykiem, któryby nawet mógł kamień poruszyć... Teraz, podczas gdy biedak męczy się, leżąc na barłogu, otoczony zgłodniałemi dziećmi, młody Bohdan, rozbójnik, leżąc na miękiej kanapie, opowiada przy szklance wina o swoim figlu.

— Gwałtu! gwałtu! jak można pozwalać na takie rozbójstwo! rzeki łez i krwi niewinnej rozlewają się dokoła, a nikt nie zwróci na to uwagi. A gdzież jest prawo? gdzie są ludzkie uczucia?

— Spojrzyj no, spojrzyj trochę dalej—rzekł djabeł – a znajdziesz odpowiedź na twoje ważne pytania („kłoc kaszejs"). Niedaleko ztąd znajduje się dom; dom, w którym odbywają się sądy, w imię prawdy i słuszności. Oto tam pokaże ci

się człowiek, najdoskonalsze stworzenie!.. pokaże się tam jego dobroć, nabożność, rozum, mowa, ów najpiękniejszy dar ze strony Tego, którego imienia wymówić nie chcę; oraz piękne szacowne, prawo! Przebiegamy akurat po nad pałacem sprawiedliwości—patrz co się tam dzieje i opowiadaj co widzisz.

— Widzę—odrzekłem—trzech rumunów, stojących przed kratkami sądu; wszyscy trzej rabowali i mordowali żydów, o co też są oskarżeni. Adwokat, który się nazywa Bresku, broni ich w świetnej mowie: „Panowie!—woła on do sędziów przysięgłych—przedewszystkiem powinniście zastanowić się nad tem, co to są żydzi? Powinniście mieć to na względzie, iż żydzi to pijawki wysysające z ludu krew! Mogę wam dowieść na zasadzie talmudu że żydzi opijają się naszą krwią, że nas męczą. W żydowskich przykazaniach stoi: że prawdziwi chrześcijanie powinni się obchodzić z żydami jak z dzikiemi zwierzętami. Jestem pewny, panowie sędziowie, że uwolnicie moich trzech klientów, albowiem zamiary ich były bardzo dobre, chcieli oni uwolnić nasz kraj od pijawek.”

— Dziękuję ci, Bresku! — zawołał Aszmodaj z wielką radością — twoja obrona zrobiła mi prawdziwą przyjemność, dowiodłeś w niej albo-

wiem, co to jest człowiek, co znaczy jego wymowny języczek!

Podczas gdy djabeł z ironią mówił o ludziach i wyśmiewał się z ludzkiej sprawiedliwości, nabożności i miłości wzajemnej, przelatywaliśmy znowu po nad jakimś domem.

— Srulik—rzekł do mnie—po tem wszystkiem coś widział i słyszał w tym kraju, spojrzyj jeszcze do wnętrza tego pałacu. Tam siedzi na krześle minister Kostaforu, w otoczeniu wielkich ludzi i dziennikarzy.

— Widzę – rzekłem — i słyszę, jak minister rozkazuje przygotować papier, który nieszczęśliwi moi bracia podpisać będą zmuszeni. Napisane tam jest, że wszelkie pogłoski o prześladowaniach są kłamstwem; że przeciwnie, dzieje się tu żydom bardzo dobrze i że korzystają z bardzo dobrych praw.

— Bądź zdrów za to, mój najdroższy Kostaforu! gdyby było na świecie więcej takich jak ty, mógłbym już spać spokojnie. Bądź zdrów, mój przyjacielu, twoje zdrowie jest bardzo potrzebne, ponieważ dzięki tobie, tysiące innych utraci zdrowie i życie. Kostaforu, serce! bądź zdrów, wraz z twoimi dyrektorami, bądź zdrów, pociesz mnie jeszcze kiedy podobnym dokumentem, nie żałuj papieru...

Tak mówił Aszmodaj, unosząc mnie dalej.

Przebiegaliśmy po nad różnemi krajami, patrząc wszędzie na smutne sceny.

— Eh!—odezwał się do mnie Aszmodaj—to wszystko głupstwo, kropla w morzu! Widziałeś tylko te krzywdy, które obcy ludzie wyrządzają twym braciom, a teraz chcę ci pokazać wielkie krzywdy, które wy sami sobie wyrządzacie nawzajem. Chcę ci pokazać wszystkie wasze ozdoby, waszą arystokracyą, waszych opiekunów, waszą dobroczynność...

— Dość!—zawołałem—wszak znam to bardzo dobrze.

Zakręcił się ze mną w powietrzu i, lecąc z niesłychaną szybkością, mówił:

— Chcę ci pokazać wasze doskonałości. Zrób mi tę łaskę, mój Sruliku, „kecełe, mucuniu," i popatrz troszeczkę. Zobacz-no tych poważnych ludzi, z obnażoną szyją, w pantoflach, pończochach z dziurawemi piętami, tych ludzi od puszek, skarbonek i skrzynek—przyjrzyj się tym kierownikom waszych interesów, tym krzykaczom, „mocnym młotom," nowomodnym świecznikom wygnania (najmodne gołejs lichtełech).

Zadrżałem i spojrzawszy na dół, dostrzegłem zaraz jednego z takich.

— Nie trzęś się, Sruliku — rzekł Aszmodaj z uśmiechem, bo możesz stracić równowagę i spaść, akurat. . temu żydowi w ręce.

— Zamiast wpaść w jego ręce, wolę już pozostać w twoich. Proszę cię djable, unoś mnie stąd jak najprędzej.

— Chociaż raz spojrzyj, zrób to dla mnie, ja proszę cię o to!

— Nie! nie!—zawołałem i wcisnąłem się głębiej w jego rękę. Mogę, broń Boże, zwaryować od tych wszystkich widoków. Niech już raz będzie koniec.

— Nie szkodzi, Sruliku, ty jesteś bardzo uparty. Nawet djabeł nic z tobą zrobić nie może!—zawołał Aszmodaj i uniósł mnie w przestrzeń.

XV.

Srulik i szkapa pomiędzy djabłami.

Jak długo trwała podróż, nie mogę stanowczo powiedzieć, ponieważ byłem bardzo wzruszony tem wszystkiem com widział i co działo się ze mną. Wiem tylko, że lecieliśmy bardzo długo, aż nareszcie znaleźliśmy się w strasznie głębokiej dolinie, zapadłej między niezwykle wysokiemi górami, wznoszącemi się prawie aż do chmur. Dziś jeszcze przebiega dreszcz po mojem ciele, kiedy sobie przypomnę ten dziki i pusty wąwóz.

Nie było tam ani śladu drzew i zieloności, tylko na każdym kroku widziałem ciernie i kupy głazów. Pomiędzy niemi przesuwały się i pełzały węże, pipernotery i jaszczurki. Świdrował mi w uszach krzyk, jaki wydawały dzikie zwierzęta i ptaki w swoich kryjówkach; krzyk, w którym zawierały się wszystkie smutne i płaczliwe tony. Czuć było przykrą woń sadzy, spalonej siarki z asafetydą, a częstokroć z ziemi podnosiły się tumany dymu i jak mgła rozwiewały się na wszystkie strony.

W takiej to dolinie zatrzymał się djabeł, tu bowiem było jego mieszkanie.

Zaraz zaprowadził mnie Aszmodaj przez szczelinę pomiędzy skałami, do jakiejś ogromnej pieczary, której dzikości w tysiącznej nawet części nie potrafię opisać. Tutaj płynęła rzeka czarnego atramentu, a na jej brzegach rosły lasy piór. W lasach kręciło się pełno djablików; pewien rodzaj stworzeń, coś niby małpy, mające jednak pewne podobieństwo do ludzi. Zobaczyłem zdaleka, jak szatani pochwycili moją biedną szkapę, wykąpali ją i unurzali wielokrotnie w atramencie, tak że wyszła stamtąd czarna i zamorusana, jak djabeł.

— To jest moja kancelarya—odezwał się do mnie Aszmodaj; tę rzekę i lasy na jej brzegach rosnące przygotowałem umyślnie dla twoich braciszków. Będą też o nich pisali i pisali, dopóki wystarczy atramentu w kałamarzu i piór w lasach. Z rzeki rozchodzą się kanały i rury atramentociągowe daleko, do najrozmaitszych okolic; do różnych redakcyj i do gabinetów pewnych osób. Ten kanał numer 999,999 doprowadza atrament do biur dnieprowickich gazeciarzy. Mam cały ocean atramentu, lasy piór, a pisarzy jak piasku!..

Świsnął i ze wszystkich stron lasu zaczęli się zlatywać djabli, jak muchy; potem uszykowali się

w jeden równy rząd, każdy z nich trzymał pióro w ręku i miał kask papierowy na głowie.

— Oto są moi pisarze—rzekł do mnie ze szczególnym uśmiechem.

Jak generał wita wojsko podczas parady, tak Aszmodaj powitał pułk swoich pismaków. Odpowiedziano mu gromkim okrzykiem radości. Potem zaczął odbywać z nimi mustrę, kazał im wystawiać języki, śmiać się, pokazywać figę, następnie zakomenderował: pióra do ręki! umoczyć! a teraz wszyscy razem... pppisz!!

Cała komenda wzięła się odrazu do pisania, aż mi włosy wstawały na głowie, gdym czytał co oni piszą! Nie brakło tam i złośliwości, i kruczków, i wykrętów... Widziałem, że niektórym z piszących ręka drżała; przekonałem się później, że to byli rekruci, dopiero przyjęci do pułku, ciężko im było odrazu przyzwyczaić się do takiej roboty... Po tej mustrze, Aszmodaj świsnął znowu, i na ten odgłos stawił się przed nim jakiś djabeł olbrzym, cały pokryty piórami.

— No, co tu się działo podczas mojej nieobecności, jak idą interesa?; zarazem muszę też panów z sobą poznajomić: oto jest mój sekretarz, pan Lucyper, a to rebe Srulik...

Pan sekretarz Lucyper zrobił kwaśną minę i nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem. Wydobył raport z kieszeni i zaczął czytać: Wasza ciem-

ności, królu wszystkich złych duchów-niszczycieli, książę djabelski, panie kozłów ofiarnych, hrabio siedmiu bram piekła itd., itd. Nasi agenci, „dobroczyńcy żydowscy" w różnych miasteczkach dali nam wiedzieć, że dzięki poczynionym przez nich staraniom, taksa na mięso nie będzie zniesiona.

Aszmodaj aż podskoczył z radości.

— Dziękuję ci bardzo, dziękuję ciemno-wielmożny Lucyperze, żeś mi doniósł o takiej przyjemnej rzeczy; poczem zwrócił się do mnie z następującemi słowy:

— Widzisz, to się u mnie nazywa dobra nowina! przez to albowiem twoi kochani braciszkowie głód cierpieć i chorować będą. Dzisiejsi wielcy doktorzy powiadają, że kto jada mało mięsa, ten traci siły i choruje. Chorujcie, do wszystkich djabłów! Powtóre, taksa jest koniecznie potrzebna dla mojej sprawy, przez nią albowiem musicie utrzymywać całą bandę starszyzny, która każdego zna i nie da nikomu głowy podnieść; dzięki taksie, wszyscy moi ajenci mają dobrą pensyę i przyzwoite utrzymanie, przez nią w rękach waszych pustych ludzi znajdują się sumy pieniężne, mijające się z celem swego przeznaczenia; przez nią mam najlepszy znak, że jesteście odcięci, izolowani od wszystkich ludzi, wskutek czego niemożliwem jest, abyście się zje-

dnoczyli z innymi mieszkańcami w ich uczuciach dla kraju, zkąd znowuż—źli ludzie zawsze będą mogli na was napadać! Położenie wasze będzie zaplątane, zakręcone! Teraz rozumiesz, dlaczego to jest dla mnie dobra nowina? A niedoczekanie wasze, żeby taksa miała nie istnieć, jak sobie tego życzą niektórzy, niedoczekanie wasze! bo gdyby ona ustała, to odrazu uwolnilibyście się od wielu cierpień... Lecz moi ajenci rozumieją politykę i zasługują na nagrodę za swoje starania.

— Według dokładnych wiadomości — raportował dalej Lucyper — najwięcej umierało na cholerę takich, którzy, z powodu ubóstwa, nie mogli jeść mięsa; jest ono strasznie drogie, a wskutek starań naszych niezmordowanych ajentów, cena jego z każdym dniem wzrastać będzie.

— Dobrze—rzekł Aszmodaj—bardzo dobrze! właśnie podczas cholery taksa najlepiej uwydatnia swoją siłę (znaczenie) pomiędzy biednymi ludźmi. Niedawno w jakiemś miasteczku czytałem kartki porozlepiane na rogach ulic. Na kartkach napisane były „słowa proszących o szczęście Izraela,” zawiadamiające publiczność, że ponieważ na świecie panuje cholera, przeto trzeba jeść mięso, nawet podczas dziewięciodniowego postu. Czytając tę kartkę, śmiałem się serdecznie! Każą im w imię miłości Boga jeść mięso i także

w imię miłości Boga podwyższają cenę tego mięsa!!

— Kandydatów na „dobroczyńców miasta”— czytał dalej Lucyper—jest mnóztwo, z rozmaitych gatunków ludzi—tak dalece, że nie mamy tyle posad do rozdania... Dlatego do każdego pomocnika głównego „dobroczyńcy” trzeba będzie dodać ze stu podpomocników—a ci sami już postarają się o źródła, z których czerpać będą swe utrzymanie. Co do tego ostatniego punktu, wypracowali oni już bardzo dowcipny projekt. Odesłałem takowy do specyalnej komisyi, w której skład wchodzą: Oriman, Acheron, Sziwa i Belzebub. Do pułku pismaków przybyło nam trzy tysiące trzystu trzydziestu trzech rekrutów; tymczasem nie są oni jeszcze dostatecznie przygotowani, ale Belzebub pracuje nad ich wykształceniem. Atramentu wyszło nam w ostatnim czasie siedem tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć wiader i półtorej kwaterki.

— Tak mało!—zawołał Aszmodaj, z miną zdradzającą wielkie niezadowolenie.

Lucyper chciał objaśnić przyczynę tego, gdy nagle wpadł djabeł z depeszą. Aszmodaj dał znak i Lucyper zaczął czytać.

— To z Rumunii—rzekł—proszą na wszystko, żeby im przysłać jak najwięcej atramentu.

— Dobrze, zrób go jak najwięcej, dodaj jesz-

cze do zwykłych materyałów, krwi, żółci, zielonych robaków, assafoetydy—i nie żałuj, niech atrament będzie w dobrym gatunku!

Lucyper rzucił okiem na drugą depeszę...

— To—rzekł—znowuż z Galicyi, a to z naszych kochanych Dnieprowic. Skarżą się, że mają prawie zupełnie puste kałamarze... nie mają czem pisać, a tu czas nie czeka, na gwałt trzeba wydać numer...

— Otworzyć natychmiast krany!—zakomenderował Aszmodaj.

Cała kompania djabłów rzuciła się do kranów i atrament popłynął rurami do rozmaitych okolic. Nagle przyfrunęła jakaś naga dusza i latała w powietrzu, tu i tam, niby motylek o skrzydłach płomiennych, blado niebieskich, barwy płonącego spirytusu. Sama wyglądała jak wielka, wydęta bańka mydlana i lśniła się różnemi kolorami. Dopiero dobrze się przypatrzywszy, można było w niej dostrzedz rysy twarzy i potężny nos...

— Ach!—krzyknął Aszmodaj, chwytając się za włosy—ach! przeniósł się do wieczności najlepszy „dobroczyńca,” wielki filantrop, jeden z najlepszych moich agentów! To właśnie jest jego dusza, która przybyła tutaj, aby zamieszkać z duszami wszystkich „dobroczyńców.”

Wpatrzyłem się uważnie w tę duszę i poznałem

w niej najgłówniejszego dobrodzieja naszego miasteczka...

— Płacz, jęcz Sruliku—zawołał Aszmodaj—żałosnym głosem. Miasto twoje poniosło ciężką stratę; twój kahał postradał znakomitego filantropa, caceczko! Wyjcie, jęczcie szatany, djabły! bo ja, wasz król, utraciłem najlepszego doradcę, najwierniejszego... Bez niego będę jak bez prawej ręki!..

W całem piekle, w całej obszernej dolinie, dał się słyszeć lament, w którym słychać było najrozmaitsze dzikie głosy, niby szum wiatru wyjącego za oknami w ciemną noc, niby płacz, niby nocne miauczenie kotów na dachu. Dał się słyszeć żałosny jęk sów, krakanie wron, rechotanie żab, syk wężów, piszczenie szczurów, ryk byków, mruczenie niedźwiedzi i lampartów, jakby wszystkie dzikie stworzenia opłakiwały śmierć tego zacnego „dobroczyńcy,“ tej „czystej duszyczki“ (koszere nszome). Małom nie zemdlał, mało nie umarłem, słuchając tych przeraźliwych jęków.

Aszmodaj złapał ową duszę w rękę jak muchę i wrzucił ją w głęboki dół, mówiąc te słowa:

— Co tu pomoże płakać? człowiek umierać musi, prędzej czy później zawsze djabeł go w swoje pazury dostanie. Bądźże więc pogrzebiony na dziewięć łokci w ziemi—i idź do wszystkich djabłów! Będę musiał obyć się bez ciebie

i znaleść innego niegodziwca na twoje miejsce... Sruliku, serce,—rzckł do mnie z czułością—ty musisz być w mieście następcą tego „dobrodzieja.

— Ja nie chcę! ja nie mogę tego uczynić!—wymawiałem się płaczliwie. Miej litość, wybierz kogo innego; jest przecież takie mnóstwo kandydatów, tak wielu amatorów, wybierz więc któregokolwiek, a mnie uwolnij od tego urzędu.

— Proszę cię, nie wypowiadaj mi twego zdania—odpowiedział djabeł—już ja wiem najlepiej co robię.

— Cóżeś sobie do mnie upatrzył?—zawołałem. Ja jestem biedny człowieczyna i wcale niezdatny do takich interesów—mogę ci rekomendować rozumniejszych, lepszych i doświadczeńszych aniżeli ja. Oto poproś naprzykład Lejbełe reb Abełes (Lejbusia syna Abla), Szlojmę reb Binems, Trejteł reb Jejsełes, Fiszke reb Nisełes... lub też kogo z ich kompanii. Każdy z tych ludzi rozumie dobrze interes i obrobi go jak prawdziwy majster. Gdzie mnie równać się z nimi!?

— Tamci wszyscy są już zatrudnieni, każdy z nich ma swoją posadę; nic ci nie będzie, mój Sruliku, powtarzam raz jeszcze, lepiej oto milcz i nie bądź uparty, a jeżeli ci się niepodoba, to potrafię zmusić cię gwałtem. Ani słowa już—sza!

Zrobił straszliwą minę i pogroził mi palcem

w taki sposób, że aż skóra ścierpła na mnie ze strachu i stałem się niemy jak mur.

— Tak, Sruliku, to lubię; lubię kiedy milczysz—rzekł ze słodkim uśmiechem i pogładził mnie po twarzy. Jesteś rozumny chłopaczek, nie trzeba ci łopatą kłaść w głowę. Ja czuję, że z czasem będziesz pełnym doskonałości; zanim jednak dam ci taką wysoką posadę, muszę ci najpierw udzielić instrukcyą, jak się powinieneś prowadzić. Słuchaj Sruliku, serce! *pierwsze* prawidło mądrości jest mieć nabożną fizyognomią, nabożność albowiem dla człowieka rozumnego jestto krowa dobra—daje ona mnóstwo mleka i masła, więcej niż najpiękniejsza holenderka. Tę kapitalną krowę trzeba bardzo doglądać, trzeba jej bardzo często podrzucać wiązeczkę „kofuł szmejno cyces,” [1]) trzeba jej przyszykować wielki worek (tałes zak) [2]) pełen najrozmaitszych książek i napisów kabalistycznych (szejmes). Ona powinna po kilka godzin dziennie stać przy cebrze, powinna karmić się i napawać miodem towarzystwa pogrzebowego (hewro kadisze), wódką dorocz-

---

[1]) „Cyces” są to sznureczki, które żydzi noszą przy ubraniu; „kofuł szmejne cyces”—sznureczki podwójne, noszone przez bardzo nabożnych.

[2]) Worek, w którym żydzi noszą przybory do nabożeństwa i modlitewniki.

nych nabożeństw (jorcajt bromfen) [1]) i tym podobnemi trunkami. Taką powinna być nabożność moich agentów z zachowawczej klasy; agenci zaś moi z dzisiejszego świata biorą także maskę nabożności, ale nieco na inny ład. Zazwyczaj nie umieją oni ani *be*, ani *me*, żyją z każdym dobrze, uśmiechają się bardzo słodko, kręcą językiem to tak, to owak, noszą ubranie niby długie, niby krótkie, brody mają takie, które nie są całe i nie są także golone..., rzucają się na wszystkie strony i każdemu pragną dogodzić. Są i tacy, którzy wcale nabożności nie mają, za to cała ich mądrość zasadza się tylko na sile... na kułaku. Z takich bezczelników pierwszego gatunku nie należy brać przykładu.

Drugiem mojem przykazaniem jest: litość, miłosierdzie. Komentarz do tego jest taki: że można popełniać wszelkie niegodziwości, drzeć ostatnią skórę z żywego i z umarłego, byle tylko ciągle mówić o miłosierdziu! W cichości każdego szarpnąć, ukąsić, a przed światem ciągle wzdychać, trwożyć się, niby o dobro ogólne. Moje *trze-*

---

[1]) W rocznicę śmierci ojca, syn odprawia za niego nabożeństwo w towarzystwie pewnej liczby współwyznawców; po modlitwie częstuje ich wódką. Zwyczaj ten praktykuje się szczególnie między hassydami.

cie przykazanie da się streścić w słowach: „miasto to ja"; komentarz do tego bardzo prosty: ja i moja kompania to jest „miasto," pozostałe zaś tysiące ludzi powinny znaczyć tyle co nic. Kiedy my obrabiamy jaki interesik, to ma znaczyć, że tak chce całe miasto, chociażby ludność nie wiedziała nawet co podpisuje... Moje *czwarte* przykazanie jest „jedna ręka," (jad ahas) to znaczy trzymać się zawsze ściśle z mocnymi. Trzeba się związać silnie naprzykład z „gospodarzem taksy" (baał takse), ponieważ on jest przyczyną wszystkich przyczyn i źródłem wszelakiej cnoty. On jest samą cnotą, ciałem z ciała waszego i kością z waszych kości! Dla niego też należy opuścić, bodaj nawet ojca swojego i matkę swoją, a pójść za „baał-takse," być z nim jednem ciałem i duszą. Uchyl twoję wolę przed jego wolą, ażeby i on kiedyś uchylił znów swoją wolę przed twoją. Od was obydwóch pochodzić będzie smutek i radość, okrągłe i śpiczaste... *Piąte* moje przykazanie jest: „pretensya!" to znaczy: ilekolwiek nabrałbyś, ilebyś nadarł i nazbierał, zawsze przed ludźmi masz płakać, nie być zadowolonym i rościć pretensyą do całego miasta; zawsze masz mówić, że nie warto trudzić się i męczyć dla dobra ogólnego!

Szóste przykazanie moje brzmi: „lulu!" to jest, że trzeba ogół kołysać, nucić mu różne piosneczki usypiać go ciągle... Ogół to jest dziecko; gdy

więc śpiewają mu piosneczki, mówią bajki, on przymruża oczy i śpi—gdy wołają: „bu! bu!”, to on boi się i sądzi, że nadchodzi niedźwiedź.

Do uśpienia tego dziecka wyborna jest stara piosnka o „kestełe” (puszce do zbierania składek); później idzie znana śpiewka „tejre is a bechte schejre”, [1]) stara baśń o „rabinie i rabinowej,” [2]) o łobuzach, zaklinaczach i tym podobne bajeczki. *Siódme* moje przykazanie jest: „et be!”, a komentarz do tego jest bardzo prosty: gdy ogół, to głupowate dziecko, zacznie krzyczeć gwałtu! — w pierwszej chwili nie trzeba nic robić... Widać brzuch je boli, skoro krzyczy..., widać bardzo je boli!.. „Et be” trzeba powiedzieć wtenczas, bez żadnych objaśnień. Nie szkodzi, dziecko wykrzyczy się i będzie znowuż spało, jeszcze lepiej niż przedtem... *Ósme* przykazanie moje mówi „zniszczyć go!”, to znaczy: że jeżeli ktoś zaczyna zadawać jakieś pytania... jeżeli dopytuje się o to, lub o tamto, jeżeli jest zanadto ciekawy, to trzeba całkiem go zniszczyć, powiedzieć, że on jest „apikejres”, [3]) hultaj, niegodziwiec, że nie warto wcale z nim mówić nawet! *Dziewiąte* moje

---

[1]) Znaczenie objaśnione w jednym z poprzednich przypisków.

[2]) Aluzya do książek żydowskich.

[3]) Apikejres, znaczy bezbożnik; właściwie „epikurejczyk”.

przykazanie jest: „szczuć,” to jest, że jeżeli kto krzyczy, jeżeli płacze krwawemi łzami, jeżeli woła: gwałtu! nas szczypią, rwą, szarpią nas!, to trzeba na niego nasłać dzieciaków, żeby drażnili go, żeby biegali za nim i krzyczeli: be! be! „szejner bochur!” powtarza co się dzieje w szkole! Nareszcie moje *dziesiąte* przykazanie jest: „babske miteł” (babskie leki). Skoro dziecko (t. j. ogół) osłabnie, wychudnie i jest już prawie bez duszy, to nie należy wzywać prawdziwego lekarza, lecz uciec się do starych babskich środków: sprowadzić zamawiacza, cygana, znachora, lub kogoś podobnego... Te moje dziesięć przykazań masz zachowywać skrupulatnie, a będziesz sobie żył szczęśliwie z twoją żoną, dziećmi i towarzyszami na tym świecie. Szczęściem tamtego świata częstuj drugich, mów im o winie i o mięsie, [1]) które ich tam oczekuje, sam zaś jedz mięso i wino tutaj, na ziemi...

Otworzyłem usta, wytrzeszczyłem oczy i stanąłem jak bałwan, wysłuchawszy tych dziesięciu djabelskich przykazań.

— Musisz zaraz jechać i objąć posadę, mój Sruliku — rzekł Aszmodaj — twoje miasto albowiem może pozostać bez dobroczyńcy, a z tego

---

[1]) Jest podanie, że gdy świat się skończy, Bóg przygotuje żydom ucztę z mytycznej ryby Lewiatana, utuczonego wołu (szei habejr) i wina (jajn mszomer).

mogłoby jeszcze wyniknąć coś nie bardzo dla mnie pożytecznego. Dam ci szkapę, żebyś na niej wierzchem pojechał.

— Och!—zawołałem, gdy wspomniał o szkapie—nie mogę, dalibóg nie mogę jechać na niej!

— Nie szkodzi! nie szkodzi! potrafisz; nauczymy cię zresztą... Szkapa jest bardzo pokorna, z łatwością można wsiąść na nią. Nie zważaj na to, że wygląda ona nie bardzo pokaźnie i pięknie, gdyż za to posiada inne zalety: ona pochodzi z bardzo wielkiego miejsca (rodu); będziesz z niej bardzo zadowolony, tak że później nie zechcesz jej z rąk wypuścić... Zapewniam cię Sruliku...

Na jego rozkaz przyprowadzono nieszczęśliwą szkapę. Czułem że mi się robi dziura w sercu, patrząc na nią, taka była biedna, taka zgnębiona. Bóg jeden wie tylko, co ona musiała wycierpieć przez ten czas od djabłów. Spuściłem głowę na piersi, jak złodziej, wstydziłem się spojrzeć jej prosto w oczy i oblewałem się łzami na myśl, że będę zmuszony wsiąść na nią i być na jej karku ciężarem... Nie widziałem żadnej innej drogi, aby się wykręcić.

— Trzeba teraz przebrać Srulika—rzekł Aszmodaj—pragnąłbym widzieć, jak wyglądać on będzie w kostyumie „dobroczyńcy miasta": jak będzie jechał na szkapie... No! dalej do roboty!!

Nie ubiegła nawet minuta, gdy posługacze dja-

belscy przynieśli całą górę ubrania, najrozmaitszej formy i kroju... Jeden z djabłów, widocznie naczelnik garderoby, na rozkaz Aszmodaja wziął mnie w swoje ręce, pochwycił mnie za czub, wysmarował mnóstwem pomady, fiksatuaru, ułożył mi z wielką umiejętnością bródkę, potem włożył mi półkoszulek z czterema spinkami z perłowej masy, chustkę mantynową zawiązał mi na szyi, dał mi parę zdrowych bucisków, sukienne, z przeproszeniem, spodnie, które wisiały na mnie jak dwie torby, kamlotową kamizelkę i surdut długi do kolan. Na głowę wsadził mi kaszkiet uszyty jakoś sztucznie.

— No — rzekł Aszmodaj, obejrzawszy mnie uważnie, od stóp do głowy, to jest strój kachalnego pisarza. Do wszystkich djabłów z kachalnym pisarzem! Taki kostyum nie pasuje dla Srulika, poszukaj no więc innego.

Kamerdyner przeczesał muie natychmiast i przystrzygł mi włosy, wyciągnął brodę, ubrał w inną kamizelkę, zdaje się, że w atłasową, zapiętą aż pod samą szyję; kortowy surdut, z tyłu przecięty, ale znacznie dłuższy niż poprzedni, tak że było z pod niego widać pięty może zaledwie na dwa, trzy palce. Na głowę włożył mi poważną, stateczną czapkę. („a seriozne stateczne hitel").

— Cóż to znów za gatunek?!—rzekł Aszmodaj oglądając mnie na wszystkie strony—Aha! to jest

uniform plenipotenta kachalnego. Niech go djabli porwą, razem z tem głupim rozporkiem z tyłu — i masą niezgłębionych kieszeni! Nie, Srulik musi mieć inną garderobę. Spojrzyj no na jego żałośliwą fizyognomię, a sam zrozumiesz, co mu pasować będzie najlepiej.

Jeszcze i jeszcze inne kostyumy wkładał na mnie djabelski kamerdyner, czesał mnie co chwila inaczej, czyścił, stroił, wyciągał i wyrywał mi włosy, aż mi z wielkiego bólu łzy w oczach stawały. Nareszcie ostrzygł mnie całkiem krótko, wyciągnął mi parę pięknych pejsów; na głowę dał jarmułkę, a na nią wielką czapkę futrzaną; koszulę z ogromnym wyłożonym kołnierzem, zawiązanym na tasiemkę, bez halsztucha; długi „tałes koten" krótkie spodnie, pończochy i trzewiki, długą atłasową kapotę, przepasaną pasem, a na wierzch piękne futro z wydry.

Kamerdyner przypatrzył mi się dobrze, uśmiechnął się w dość dziwny sposób, potem poruszył kilkakrotnie głową i mlasnął językiem, na znak zadowolenia.

— Błyszczysz! jaśniejesz Sruliku! — rzekł Aszmodaj, śmiejąc się z radości na mój widok... Jestem niesłychanie kontent, widząc cię w takim paradnym stroju! Twarz twoja rozparzona jest jak „cymes"; [1]) pocisz się w futrze, a z pod wiel-

---

[1]) Potrawa z jarzyny.

kiej czapki twarz twoja wychyla się niby gwiazda poranna! Poć się, poć, Sruliku serce! bardzo dobrze!.. Coś tu jeszcze brakuje do kompletnego stroju—rzekł, zwracając się do kamerdynera... Czy pamiętasz, jak wyglądał Joseł Dinczes, kiedy szedł na spotkanie nowego gubernatora?

— Prawda! prawda!—zawołał kamerdyner—byłbym zupełnie zapomniał. Aj waj! aj waj! ale nic nie szkodzi, to się natychmiast dopełni...

Chwycił mnie zaraz w swoje pazury i na tyle głowy wygolił mi kilka okrągłych kółek, a na nich, dla piękności, pozostawił odpowiednią ilość ciętych baniek. [1])

No teraz Srulik jest już w paradnym uniformie—rzekł Aszmodaj—teraz może bardzo pięknie jechać wierzchem na szkapie...

Z wielką paradą przyprowadzono mnie do szkapy.

— No, siadaj! siadaj Srulik!—wołano ze wszech stron—ciesz się, żeś doczekał szczęścia przejechania się na takiej szkapie, na szkapie całego świata! Trzymaj że się rękami i nogami i jeździj na

---

[1]) Prawdziwy hasyd troszczy się bardzo o to, żeby miał lekko na głowie, to też strzyże włosy krótko, nosi czapkę jedwabną lub aksamitną. Najbardziej gorliwi golą włosy na tyle głowy i stawiają sobie bańki cięte. Wtenczas mają bardzo lekko na głowie, mogą rozmyślać!

niej jak „puryc" [1]) do stu dwudziestu lat! dopóki cię djabeł nie porwie i kogo innego na twoje miejsce nie posadzi.

— Przepraszam cię biedna szkapo—szeptałem, gdym już siedział na jej grzbiecie; wybacz mi, wybacz—mówiłem z zapłakanemi oczami i rozdartem sercem... Cóż mam czynić? Kiedy djabli zmuszają mnie do jechania na tobie? ach biada! biada mnie i tobie! biada nam obojgu. Biada tobie, że jesteś szkapą, że musisz mnie dźwigać—i biada mnie, że ja, twój przyjaciel, jestem przymuszony siedzieć ci na karku. Co mamy robić ja i ty, skoro oboje jesteśmy w uciemiężeniu, skoro oboje tak nieszczęśliwi jesteśmy!

Djabli zaczęli szkapę porządnie okładać, aż zerwała się i zaczęła pędzić z wielkim impetem... Zewsząd podniosły się okrzyki: hura! hura! Podczas tego biegu usłyszałem, że szkapa ciężko westchnęła; jej jęk uderzył mnie w serce jak nożem. Sam nie wiedząc co czynię, zachwiałem się i upadłem na ziemię jak snop.

— Nie szkodzi! nie szkodzi Sruliku! nie upadaj na duchu—rzekł śmiejąc się Aszmodaj... Ale nie bałamućmy, czas już jechać. Powtórz sobie Sruliku, pamiętaj i zachowuj dobrze moje przy-

[1]) Puryc:—obywatel, szlachcic.

kazania—a teraz „połóż rękę twoją pod biodro moje" [1]) i przysiąż że mi będziesz posłuszny.

Stałem jak bałwan gliniany i nie wiedziałem zupełnie co mam robić...

— No, no, nie bądźże tak zaspany (apatyczny) i rób prędko to, co ci rozkazuję... czas jest drogi, trzeba się spieszyć.

Położyłem rękę pod jego biodro, chcąc nie chcąc, a on tymczasem dał znak Lucyperowi, sekretarzowi swemu, który natychmiast zaczął czytać straszliwą rotę przysięgi.

— Czegoż milczysz, Sruliku?—rzekł Aszmodaj z gniewem—dlaczego nie powtarzasz słów przysięgi? Sądzisz, że ze mną można wyrabiać różne sztuczki? składać „przysięgę wymuszoną," jak u was, piękni ludzie!? Nie! powtarzam ci wyraźnie, że ze mną to się nie uda, nie pomoże udawanie nawpół umarłego... nic nie pomoże! przysięgaj!

— Nie mogę — odpowiedziałem drżącym głosem.

— Co? ha!?—zawołał z takim gniewem, aż się ziemia zatrzęsła pod nami.

Szkapa poruszyła nieznacznie głową, jak gdyby chciała powiedzieć „Jehudi bele!" nie, żydzie!, trzymaj się żydzie ciągle jednego: nie! nie! i nie!

---

[1]) W taki sposób przysięgano u dawnych hebrajczyków.

— Nie mogę przysiądz—powtórzyłem poprzednie moje słowa, śmielej już nieco.

— Przysięgaj!—wrzasnął Aszmodaj z takim gniewem, że iskry posypały mu się z oczu, a z ust dym wybuchnął...

Moja biedna szkapa westchnęła, a to westchnienie przypominało mi wszystkie jej wielkie cierpienia, które w długiem życiu swojem przeniosła. Ach!—pomyślałem sobie—czyż mało nieszczęsna ma znosić od innych, żebym i ja jej jeszcze bólu przysparzał? Cokolwiek się ze mną stać może, nie uczynię tego. Muszę wyjść z tej próby zwycięzko, jak na uczciwego człowieka przystoi...

— Na żaden sposób nie mogę, na żaden sposób nie przysięgnę—rzekłem i wyrwałem swą rękę z pod jego bioder tak gwałtownie, że się aż szarpnął z bólu.

Stanął cały w płomieniach, strach było spojrzeć na niego. Wydał przerażający okrzyk i skoczył wysoko w powietrze... Jedną nogę oparł na ziemi, drugą na niebie, chwycił mnie za włosy i jak rozpaloną głownię rzucił w przestrzeń...

Spadałem jak z nieba; z początku dolatywały mych uszu dzikie śmiechy djabłów, potem ujrzałem, że i biedna szkapa zepchnięta z wysokości, spada także wraz ze mną.

— Ach! upadamy! upadamy! — rzekłem do niej smutnie...

— Nie szkodzi, nie szkodzi! — zawołała szkapa. Ilekroć upadam, podnoszę się zawsze... Tylokrotnie już w życiu upadłam, a jednak... nie przepadłam dotychczas!

Spadałem coraz niżej i niżej, aż nareszcie uderzyłem głową o ziemię i z wielkiego bólu wydałem przeraźliwy okrzyk...

Zdawało mi się, że czyjeś ręce obejmują mnie i podnoszą, że czyjeś łzy gorące spadają mi na twarz ..

ROZDZIAŁ XVI.

„Trascia ich materi.“!

Otworzywszy oczy, ujrzałem że leżę na podłodze, przy łóżku, u siebie w stancyi. Matka moja płacze i przy pomocy jakichś ludzi usiłuje mnie podnieść...

Gdy mnie położono do łóżka, zacząłem zastanawiać się: co to jest? co dzieje się ze mną? zkąd tak nagle wziąłem się tutaj?... Podniosłem się nieco i ze zdumieniem patrzyłem dokoła. Byłem u siebie w domu. W stancyi znajdował się nasz zaklinacz (baał szejm) i stara znachorka (chrześcianka), którzy kręcili się i coś szeptali. Matka dotykała rękami mej głowy i zalewała się łzami.

— Czemu płaczesz mamo?—spytałem, całując ją z czułością.

— Ach! Sruliku, Sruliku—odrzekła łkając—ileż wycierpiałam nieszczęśliwa! Chwała i cześć niech będzie Najwyższemu za to, żeś już przynajmniej oczy otworzył... Okropnie stłukłeś się, spadłszy z łóżka...

— Mamo—zapytałem—co się dalej działo?

— Nie pytaj, proszę cię, nie pytaj już o to. Wszystko to twoje książki!..

— Co za książki? jakie znowuż książki?

— Ot! te twoje puste bajki, któremi zagwoździłeś sobie głowę! — odrzekła matka, machnąwszy ręką niechętnie. Zagwoździłeś sobie głowę, ucząc się niby to na doktora. Cóż miałam z tobą robić? Czy był jaki wybór? Chciałeś się uczyć, uczyłeś się, ale po co takie książki? takie bajki, takie głupstwa?! Co to ma za związek z doktorstwem? Ktoś chce się uczyć doktorstwa... dobrze, niech idzie, niech uczy się, ile dusza zapragnie. Niech się uczy tego, co do doktorstwa należy, ale po co te bajki? Na mój kobiecy rozum, to one nie są nic warte... Ach! Może ty masz wielką głowę, możebyś nawet wyrósł na wielkiego człowieka, sławnego doktora, gdybyś nie był uczył się tylu różnych bajek, tylu historyj, jak oni tam nazywają! Otóż masz teraz bajki i historye! Żeby one, Panie świata, przepadły!... przynajmniej nie miałabym tylu cierpień i zgryzot...

— Jakich cierpień, mamo?

— Jakich cierpień i zgryzot? pytasz Sruliku, ach! czyż mało spadło ich na mnie!?

Tu matka z płaczem zaczęła mi opowiadać:

— Kiedy otrzymałam list z Dnieprowic, że nie

odpowiedziałeś dobrze na egzaminie z owych historyi i że z tego powodu twojemu doktorstwu już ma być koniec, spodziewałam się, że niezadługo powrócisz do domu, rzucisz do wszystkich djabłów całe twoje głupie plany, ożenisz się i będziesz żył jak Bóg przykazał, jak żyd powinien żyć... Czekałam tydzień, ty nie wracasz, czekam drugi tydzień, niema cię! Nie piszesz ani litery. Głowa mi pęka od myślenia, co to być może? Nie mam ani chwili spokojności, nie mogę spać, nie mogę wziąć do ust jedzenia... Przecież ty Srulik jesteś moje jedyne dziecko, moje oczko w głowie. Co warto dla mnie życie bez ciebie! Tymczasem w mieście zaczęto o tobie rozpuszczać rozmaite plotki. Jedni mówili żeś umarł; drudzy znów (żeby im mowę odjęło!) powiedzieli, że się jakoby ochrzciłeś—i jeszcze różne rzeczy, jakie tylko wrogi mogą wymyśleć. Nie mogłam już dłużej wytrzymać i pojechałam sama do Dnieprowic. Przybywszy tam (nieszczęście moje wielkie!), znalazłam cię w straszliwym stanie! Byłeś czarny jak ziemia, wychudły, niepodobny do siebie. Nie było na tobie ani łuta mięsa, tylko sama skóra i kości! Ja się pytam: co tobie jest? - a ty (niech to dziś pomyślanem nie będzie!) odpowiadasz mi bez sensu; ja mówię do ciebie jak do człowieka, a ty pleciesz bez związku, że krowa latała po dachu! Patrząc na

ciebie, czułam, że mi się robi dziura w sercu... ot — pomyślałam sobie, zaraz padnę na ziemię i umrę! Ludzie radzili mi, abym poszła do nauczycieli prosić za tobą, sądzili, że dobra nowina przywróci ci zdrowie. Rozumie się, żem zaraz poszła—płakałam, prosiłam, ale wszystko na-próżno. Odpowiedzieli mi: „nie, to rzecz niemożliwa." Najęłam furę i zawiozłam cię do domu. Z dnia na dzień stawałeś się coraz bardziej zamyślonym, coraz smutniejszym, a jakeś zaczął mówić, to (zbaw mnie Boże!) już mówiłeś o ogniu i o wodzie, wypuszczałeś twój gniew na wszystkich szlachetnych ludzi, na wszystkich naszych pięknych, nabożnych obywateli miasta! Dobrze jeszcze, prawdziwy cud dalibóg, że oprócz domowych ludzi, nikt nie przychodził do ciebie, bo nie słyszeli przynajmniej i nie wiedzą, coś ty na nich (niech to dziś pomyślanem nie będzie!) wygadywał! Z każdym dniem stawałeś się słabszy, słabszy, aż nakoniec położyłeś się do łóżka. Około dwóch tygodni byłeś jakby w letargu, z zamkniętemi oczami, bez znaku życia, tylko chwilami mówiłeś coś w gorączce, opowiadałeś różne straszne bajki!.. Ach! Sruliku, drogi mój Sruliku, oto co twoje piękne książki, twoje historye narobiły! Dość mi już tego, dość;—dalibóg, gdybyś był wpierwej posłuchał rady matki i ożenił się, jak tego porządek świata wymaga, jak to

się praktykuje u nas, dzieci żydowskich, bylibyśmy sobie oboje oszczędzili takich strasznych cierpień. Oh! te bajki, te bajki! te historye, te historye!

— To wszystko pochodzi od nich, od dobrych ludzi – ja tak myślę - odezwał się zaklinacz. Niedawno miałem z niemi punkt taką samą historyę. Kobieta (chrześcianka) wie bardzo dobrze, co to był za interes. Nu, a szczo— dobre buło?—rzekł, zwracając się z pytaniem do baby.

— Dobre, jakże—dobre!—odrzekła baba ziewając, win maje prawo... eto ichnie dieło, traścia ich materi!!!!!

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.